PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY i LITERACKI, ILLUSTROWANY

Rocznik XIV.

Kwartalnik IV.

(Październik Listopad Grudzień.)

No. 40—53.

1910

POZNAŃ.
Nakładem i Drukiem »Pracy« Drukarni Nakładowej
G. m. b. H.
Ul. Rycerska 38.





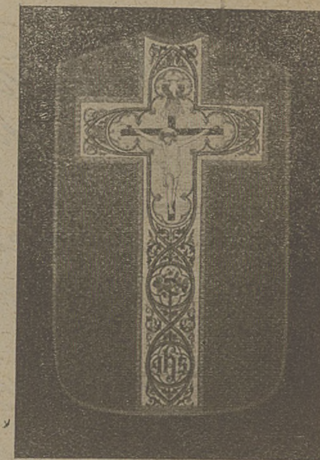
Ogromny wybór
Ołtarzyków do noszenia,
w różnych stylach,
Lasek marszałkowskich
dębowych, złoconych, polerowanych.
Figur Świętych Pańskich na powietrze trwałych, z odpowiedniemi filarami







Krzyżów przydrożnych pod gwarancyą trwałych, wszystko po cenach najniższych bo własny wyrób, a więc źródło najtańsze.
Lichtarze, wieczne lampy, pająki, latarki, ornaty, chorągwie, baldachimy, itd.
poleca



Stanisław Nowakowski,
rzeźbiarz i budowniczy ołtarzy.

Rok założenia 1896. Poznań, ulica Wilhelmowska 18. ☛ **TELEFON 2201.** ☚
Fabryka i mieszkanie: POZNAŃ-WILDA. 116

Z Nowym Rokiem zacznie wychodzić w Poznaniu

„Filareta“

☛ **Miesięcznik dla inteligentnej dorosłej młodzieży.** ☚
Abonament kwartalny 90 fen.

Program i bliższe szczegóły dotyczące **„Filarety“** zawierać będzie

Zeszyt okazowy „Filarety“

który pojawi się w połowie listopada. Zeszyt ten wyśle się **darmo** i opłacony wszystkim, **którzy podadzą swój adres dokładny.**

Adresy należy nadsyłać do

Redakcyi „Filarety“

☛ **Poznań, ul. Rycerska 38.** ☚

Uprasza się o liczne zgłoszenia. 293

☛ **Baczność!** ☚



Ważne dla posiadających gramofon!

Aby zachęcić wszystkich tych, co już gramofony posiadają, by swe zapotrzebowanie w płytach u mnie pokryli, ustanowiłem z dniem 1-go października abonament płyt. 410

Korzyści, które ztąd każdy odbiorca czerpać będzie, **są wielkie,** gdyż zakupuje się **płyty o wiele taniej.**

Abonament nie jest przymusowy, lecz dowolny i może być **każdego czasu przerwany.**

Proszę zażądać warunków aby każdy mógł korzystać z tak dogodnej oferty.

Nowy spis na polską płytę pod tytułem:

☛ **Lutnia Wielkopolska** ☚

wyszedł z druku i na żądanie bezpłatnie wysyłam

St. Pełczyński, Poznań
ul. Wodna 13, na I. piętrze.

K. Przybylski

Poznań, Półwiejska ulica nr. 6.
(w pobliżu pl. Piotra)

Poleca bogato swój zaopatrzony skład.
Wełn. trykoty damskie, mezkie i dziecięce, wełny, pończochy, skarpetki, kamasze, rękawiczki, kamizelki, żuławki, dziec. swetry, kapotki, damskie i dziecięce reformy, halki, bielizna, fartuchy, gorzety, parasole, chustki wełniane, szalowe i żynelkowe, woalki, obsady i towary krótkie.

Znaczki rabatowe lub 4% w gotówce.
Upraszam zważać na ceny w moich 4 oknach wystawnych. 301

Pewna Egzystencya tylko dla rodaka z kapit. ca K. 40.000 i fachow. wiadom.! 289 Do fabryki papy dachowej i asfaltu, jedynej w całej wschodniej Galicyi, cieszącej się poparciem władz krajowych — potrzeba wspólnika, energ. fach., któryby objął kierown. przedsiębiorstwa, ponieważ właśc. sam obowiązkom swoim podołać nie jest w stanie — Fabr. jest od od 2 mies. w ruchu, bud. mur. zupełn. nowe na tencel wyt., wraz z urządz. oszac. do poż. na K 70 tys. Przyszł. przeds. zapew. ze wzgl. na plan. asfalt ulic w więk. miast. ga icyjsk. Zgł. przyjm. **S. Broniowski w Stanisławowie.**

Nauczyciel prywatny z akademickiem wykształceniem, 31 lat liczący, szuka

żony

inteligentnej i gospodarnej, posiadającej cokolwiek majątku. Dyskrecya rzecz honorowa. Łaskawe zgłoszenia z fotografią uprasza się do eksped. „Pracy“ pod lit. **Z 106** 290

Panna

w 22-gim roku życia, z dobrej familii, silna, zdrowa, poszukuje miejsca u religijnie usposobionego państwa na wsi, celem ogólnego wykształcenia w gospodarstwie domowem, specyalnie w kucharstwie. 300
Łaskawe zgłoszenia do eksp. „Pracy“ pod **Nr. 300.**

Ucznia

z lepszemi wiadomościami szkolnemi poszukuje 291

Mich. Nowicki
Zakład zegarmistrzowski i złotniczy.
Chełmża (Culmsee W.-Pr.)

Mleczarnia parowa

w bliskości Głogowy, 3000 litrów mleka dziennie, jest natychmiast do sprzedania; bardzo korzystnie dla fachowca. Bliższej wiadomości udzieli 292

Julius Callmann, Połajewo.

Meble

po jak najniższych cenach **li tylko rzetelny towar.**

W. Mierkiewicz
mistrz stolarski 280
W. Garbary 40
(narożnik Grobli.)
Przystanek kolei elektr.

Bez wpłaty



i za **miesięczną odpłatą 2 M.** otrzymają pewni odbiorcy także na miejscu gramofon i płyty **wszelkiego** rodzaju. Przytem są aparaty o **20—30** proc. tańsze jak z domów wysyłkowych, bo 10 kawałków do wyboru, jako i dobry aparat kosztują **tylko** 25 M. Prócz tego ma się tę **korzyść,** że zawsze **najnowsze** utwory słyszeć i stosownie do tego wybrać można.

Przy płytach **ze śpilką** kupuje się **znacznie** korzystniej, bo te świeżo polecane płyty **z kamykiem** powracają na **stare** stanowisko.

M. Lohmeyer
Poznań, 302
ul. Wiktoryi 18

Największy skład na kołowce i krajowe maszyny do szycia w Księstwie Poznańskiem.

Na odpłatę wysela każdemu eleganckie ubrania męsk. i palta podł. miary od 20 Mk. pocz. **Próby** mat. i **opis miary** poprzed. **J. Willamowski, Toruń, THORN.** 271

Nr. 40. Poznań, dnia 2. października 1910 r. Rok XV

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 97. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Sprzedawczykostwo.

Wieść o zaprzepaszczeniu Górzewa bolesnem echem odbiła się wśród społeczeństwa.

Ponieważ sprawę tę oddano pod sąd „Ligi ku obronie czci“, przeto należy odczekać jej wyroku nim się ostateczny sąd o postępku p. Łukomskiego wyda. Już teraz wszakże powiedzieć można, że informacye dotychczasowe w tej sprawie bardzo są dla niefortunnego dziedzica Górzewa niepomyślne. Pan Łukomski bowiem, lubo informował się o stanie majątkowym i charakterze p. Piotrowskiego, któremu majątek sprzedał, to jednak z uzyskanych informacyj bynajmniej nie wyciągnął tych wniosków, które naszem zdaniem wyciągnąć należało. Pan radca Łukomski powołuje się wprawdzie na pochlebne opinie, jakie o p. Piotrowskim na swe dochodzenia uzyskał, lecz pochodziły one ze źródeł bądź interesowanych, bądź takich, wobec których wielka ostrożność była na miejscu, natomiast nie zwrócił należytej uwagi na informacye niekorzystne, udzielone mu ze strony bezinteresownej i bezwzględnie wiarogodnej.

Więcej światła rzucą na tę bolesną i przygnębiającą sprawę dochodzenia i wyrok wspomnianego wyż sądu obywatelskiego. Oczekujemy ich cierpliwie tembardziej, że zła, które się stało, żadne artykuły nie odrobią. Oczekujemy ich też w tem przekonaniu, że sprawa dozna gruntownego i bezstronnego rozpatrzenia, że żadne względy uboczne nie wpłyną na werdykt sądu obywatelskiego, zadaniem którego nie tuszowanie sprawy ani też znęcanie się nad obwinionym, lecz należyte stwierdzenie istotnego stanu rzeczy i wydanie sprawiedliwego wyroku.

Nie apelujemy tu bynajmniej do sumienia wzmiankowanego sądu, gdyż uważamy to za rzecz zbyteczną. Sądy obywatelskie, jeżeli chcą mieć racyę bytu i zasługiwać na poważanie społeczeństwa, muszą się rządzić najdalej posuniętą objektywnością i sprawiedliwością. Źleby było, żeby im należało o tem przypominać.

Wstrzymując się zatem od dalszych uwag w specyalnej sprawie Górzewa, pragniemy zastanowić się nad sposobami zapobiegania i przeciwdziałania sprzedawczykostwu. Ważną rzeczą jest piętnować poszczególnych sprzedawczyków, albowiem odstrasza się przez to innych od niecnej frymarki, lecz ważniejszą uświadomiać społeczeństwo o haniebności i szkodliwości tej frymarki, gdyż nie tyle artykuły gazet ile zgodna postawa całego społeczeństwa wobec sprzedawczykostwa i sprzedawczyków zdoła zapobiedz złu.

Tymczasem na co patrzymy? Notoryczni sprzedawczycy zbogaceni na niecnej frymarce ojczystą ziemią cieszą się względami nieposzlakowanych osób, bywają w uczciwych domach i nawzajem u siebie uczciwych ludzi przyjmują, a zdarza się, że na pogrzebach brzmią im pochwalne mowy i kurczyciel ojczyzny za obrońcę ziemi bywa poczytywany. Zdarza się nawet, że kupcy po małych miastach cieszą się poniekąd z przejścia wielkiego polskiego majątku w ręce kolonizacyi, gdyż liczą na klientelę kolonistów. I rzeczywiście robią może początkowo lepsze interesy, bo na kolonistach więcej się zarabia niż na roboczym ludzie, którego potrzeby są małe, lecz rychło pokazuje się odwrotna strona medalu: powstaje „Kaufhaus“ i kończą się dobre czasy.

Pobłażliwość nasza i wyrozumiałość jest wielka. A my przecież powiedzieć sobie winniśmy, że istotnymi inicyatorami całej antypolskiej polityki są właśnie owi sprzedawczycy, którzy ustępując ziemi obcym przybyszom dopiero umożliwili rozpanoszenie się kursu antypolskiego. Cóżby nam się było mogło stać, gdyby ziemia wielkopolska była w rękach prawych jej dziedziców? Czyż pomyśleć dałyby się wtenczas te rozliczne weksacye, jakich obecnie jesteśmy świadkami? Czyż byłby się znalazł jakikolwiek sejm, któryby był uchwalił fundusze na kolonizacyę, na wywłaszczenie, gdyby olbrzymia większość ziemi była w pewnych rękach polskich? Dopiero, gdy się przekonano jak mało polski właściciel ziemski, czy to pan czy chłop, dbał o swoją własność, dopiero, gdy się przekonano, że licha gospodarka, życie nad stan, tudzież kryzy ekonomiczne i polityczne uruchomiły ziemię polską, dopiero wtedy zaczęto państwowemi środkami (za Flottwella już) popierać kolonizacyę niemiecką, aż za Bismarcka całą sprawę systematycznie zaczęto przeprowadzać. I jeżeli dawniejszemi czasy właś-

ciciele ziemscy mogli się powołać na to, że stosunek obu narodowości w naszej dzielnicy nie był naprężony, że trudno się było dopatrzeć planowej w tej mierze ze strony niemieckiej działalności, to od czasów powstania komisyi kolonizacyjnej ta wymówka bezpowrotnie upadła. Dziś każdy, kto ziemię w obce ręce wydaje, wie, co czyni, wie, że dopuszcza się niczem niewymazalnej zbrodni, że staje się istotnie wyrzutkiem społeczeństwa.

Wobec tych ludzi społeczeństwo winno zająć jasną, zdecydowaną postawę. Inaczej nie będzie lepiej. Z głosu gazet tacy panowie nie wiele sobie robią, starczy ich nie czytać, aby się nawet nie dowiedzieć, co w nich napisano. Przytem część prasy ludowej w pewnych sferach tak źle jest widziana, że ataki jej na pewne osoby są dla nich niemal że reklamą. Że do tego smutnego, lecz prawdziwego stanu rzeczy przyczynili się niektórzy publicyści hołdujący zasadzie, że lepiej dziesięciu niewinnym wygarbować skórę byleby jedenasty winny nie uszedł zasłużonej łaźni, jest prawda, lecz nie zmienia to w niczem smutnej postaci rzeczy. Tak tedy stwierdzić należy, że sama prasa, właśnie wskutek dotkliwego nadwerężenia jej powagi, nie zdolna jest o własnych siłach skutecznie zwalczać sprzedawczykostwa, życzyć więc by należało, aby ze społeczeństwa wyłoniła się poważna instytucya, którąby się sprawą tą zajęła. Mamy na myśli osobne z poważnych i powszechnem poszanowaniem się cieszących osób złożone ciało, któreby na wieść o zamierzonej sprzedaży ziemi w obce lub niepewne ręce natychmiast się zwróciło do interesowanego ze stosowną interwencyą, po dokonanej zaś mimo to frymarce należycie napiętnowała sprzedawczyka. Sądzić należy, że profilaktyczna działalność takiej instytucyi dobre wydałaby owoce, lepsze niż zwykłe w takich razach drażniące notatki dziennikarskie. Sprzedawczycy nie mieliby tak dogodnych jak obecnie furtek ku ocaleniu pozorów bodaj swej niewinności, werdykt zaś takiej instancyi zupełnie inne miałby znaczenie, jak artykuły gazet ludowych w kołach produkujących t. zw. opinię publiczną nie czytywanych niestety.

Póki takiej instytucyi nie mamy, winniśmy sami tj. każdy poszczególny obywatel zdać sobie sprawę, w jaki sposób należy postępować ze sprzedawczykami. Naszem zdaniem konsekwentny bojkot towarzyski najlepszą byłby dla nich karą, najlepszym odstraszającym przykładem dla drugich. Do tego jednak trzeba dużo cywilnej odwagi, a ta podobno do wybitnych cnót naszych niestety nie należy...



O czystość języka naszego.

W nr. 38 pisma naszego napisaliśmy artykuł p. t. „Szanujmy język ojczysty.“ Miło nam podzielić się z szanownymi czytelnikami wiadomością, że myśl poruszona w wspomnianym artykule znalazła echo w Towarzystwie Dziennikarzy i Literatów, prezes którego pan poseł radzca Mizerski na podstawie tegoż artykułu „Pracy“ stawił wniosek o stworzenie komisyi z trzech członków złożonej, która ma przygotowywać materyał do dyskusyj z dziedziny języka ojczystego, mających się odtąd odbywać na każdem posiedzeniu Towarzystwa Dziennikarzy i Literatów. Wniosek przyjęto i wspomnianą komisyę utworzono.

Spodziewać się należy, że zarządzenie to dobre wyda wyniki. Wzmoże się zainteresowanie sprawami językowemi wśród członków Towarzystwa, a dyskusye przyczynią się niewątpliwie do wyjaśnienia spornych kwestyj językowych, co nie będzie bez doniosłych praktycznych korzyści w kierunku oczyszczenia języka dziennikarskiego z najbardziej rażących błędów językowych i rozlicznych obcych naleciałości. Naprawa zaś języka dziennikarskiego wpłynie z natury rzeczy dodatnio na mowę potoczną szerokich warstw społeczeństwa, dla których gazeta z reguły stanowi niemal że wyłączną lekturę i przeto tak doniosły wpływ na język ludności wywiera.

Mamy także nadzieję, że z chwilą, gdy w Towarzystwie Dzien. i Lit. rozpoczną się dyskusye językowe, wszystkie gazety nasze zechcą podawać krótkie z tych rozpraw sprawozdania, co nie tylko będzie rzeczą wielce pouczającą, lecz także szerszą publiczność dla sprawy oczyszczenia naszego języka z obcych chwastów zjednać powinno.

Mamy sobie za obowiązek podziękować na tem miejscu panu posłowi radcy Mizerskiemu za czynne zainteresowanie, jakie tej palącej sprawie okazał i prosimy wszystkich ludzi dobrej woli, a przedewszystkiem szanownych panów redaktorów pism polskich, aby raczyli poprzeć tak szczęśliwie rozpoczęte usiłowania.



Projekty bez końca.

Warszawski „Świat“, w którym p. Grubiński kilka tygodni temu wznowił myśl stworzenia na wzór francuski „Akademii Polskiej“, (myśl sympatyczna i wzniosła, lecz obawiać się należy, że w obecnem naszem położeniu politycznem i kulturalnem, niewykonalna), zamieszcza w ostatnim zeszycie projekt p. Adolfa Strzeleckiego, dotyczący stworzenia „Panteonu polskiego.“

I jakiż to ma być ów „Panteon“? Otóż nie taki, jaki obmyślił dla wielkich zmarłych naszych p. Z. Słupski, kopiec z katakumbami dla prochów wielkich mężów naszych; nie taki, jakim Francyę obdarzył Napoleon, a więc wspanialsza edycya naszej Skałki; nic, coby przypominało śmierć i z nią jakikolwiek związek miało, lecz winna to być „żadnym murem, żadnem sklepieniem niezamknięta świątynia“, w której „wszystko winno być afirmacyą życia“. Słowem: „Park olbrzymi, cudowny. Taki, jak warszawskie Łazienki, jak lwowski Park Kilińskiego, tylko jeszcze piękniejszy, bajecznie cudny.

A w nim, daleko jeden od drugiego, na tle drzewostanu starego, to na tle gęstwy krzewów, to nad brzegiem cichego strumienia, to na szerokiej polanie, posągi największych w narodzie i wielkich, najzasłuszeńszych i zasłużonych. Nietylko twórców w dziedzinie sztuki; nietylko poetów i muzyków i malarzy, ale i tych dawnych rycerzy, co po świecie szerzyli sławę polskiego oręża i mężów stanu głębokich i uczonych, i kaznodziei natchnionych, i muzyków, i wielkich obywateli.

Na tle umiłowanych jaworów patrzałby na potomność Sobieski; na skale olbrzymiej dumałby samotny twórca „Skarg Jeremiego“; w cieniu prastarego dębu wsłuchiwałby się w szmery leśne Chopin; nad strumykiem wśród wierzb nadwodnych siedziałby Lenartowicz i w stronę Zaleskiego by patrzał. A przed starym dworem szla-

checkim znalazłoby się dla Pola miejsce i dla pana Paska. I tak dalej od najmniejszych między wielkimi aż po tytany i prometeusze, po Mickiewicza i Batorego, Słowackiego i Skargę, Matejkę i Dąbrowskiego itd. itd....

Nigdzie, nigdzie, ni śladu myśli o śmierci i przypomnienia jej. Nigdzie nic, coby grozę budziło i przygnębienie.

I żadna z tych postaci umiłowanych nie powinna stać przed oczami w momencie starczego uwiądu; każda odtworzona być winna w momencie, gdy była i fizycznie najpiękniejszą, w pełni męskiego dojrzałego rozwoju.

Wszystko winno być apoteozą siły twórczej i życia!

I żadnych robót na zamówienie, żadnych konkursów i konkursowych odznaczeń!

Jeśliby który z mistrzów rzeźby stworzył dzieło potężne i godne pomieszczenia w tej świątyni bogów narodowych, wtedy wrota Panteonu stanęłyby przed tem dziełem otworem. Byle to dzieło było rzeczywiście dziełem twórczego natchnienia....“

Otóż, co się marzy rozkołysanej wyobraźni p. Adolfa Strzeleckiego. Na Skałce i Wawelu (tam już umyślił miejsce nie tylko dla Słowackiego, lecz nadto dla Szopena) chowanoby prochy wielkich ludzi, zaś w owem panoptikum pod gołem niebem — wybacz miły czytelniku to wyrażenie — stanąłby nieprzejrzany las ich posągów.

Zaiste wspaniały, niezrównany, wprost piramidalny pomysł!

Jeżeli kto, to my Polacy, którzy mamy w Królestwie 80, a w Galicyi blisko 60 procent analfabetów, mamy prawo snuć takie i tym podobne projekty! Jeżeli komu, to nam przystoi wznosić Panteony dla umarłych, podczas gdy żywi giną w Galicyi na tyfus głodowy, lub przed nędzą uciekają do Ameryki!

Gorżki śmiech ciśnie się na usta, gdy się czyta takie projekty. Zdawaćby się mogło, że u nas już nic nie ma do zrobienia, krom budowania kopców i Panteonów i zakładania Akademij!

Wszystko to rzeczy, na które sobie pozwalają narody oświecone, bogate, syte, bezpiecznie siedzące na swej żyznej, znakomicie uprawionej, lasem kominów fabrycznych zjeżonej ziemi.

Ale my? Ciemni w Królestwie; w Galicyi biedni; w zaborze pruskim gnębieni zmorą germanizacyi i ekspropryacyi; pozbawieni w dwóch zaborach najelementarniejszych środków prawidłowego, kulturalnego i społecznego rozwoju; demoralizowani, wyzyskiwani i rozpajani przez żydów; bez znaczniejszego handlu i przemysłu siedzący na ziemi w największej części żyznej, lecz źle uprawnej; rozdarci politycznie, społecznie niezgodni i niezorganizowani; kłaniający się na całej przestrzeni ziem naszych obcym kulturom, przedewszystkiem zaś niemieckiej; demoralizowani przez żydowskich pismaków i takich, którzy swe pióra żydom oddali w arendę — my zaiste ważniejsze jeszcze mamy zadania jak tworzenie Panteonów w Parku Kilińskiego, w Łazienkach, lub gdziekolwiek bądź indziej.

I co jest najgłębszą przyczyną, istotnem źródłem tych projektów? Czyżby nasze nieszczęsne: zastaw się, a postaw się.

Komu my mydlić chcemy oczy? Obcym? Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi. Swoim? Niewczesne przedsięwzięcie. Najwspanialszy „Panteon“ nie uprzytomni wspaniałości naszej istotnie wspaniałej, lecz jednostronnej kultury tym rodakom, którzy czytać i pisać nie umieją i obok moralnej materyalną cierpią nędzę. Nie pozyska też dla sprawy ojczystej ani jednego wynarodowionego Polaka.

Czyżby istotna troska o dobro narodu, wrażliwego na wszystko, co niezwykłością swoją działa na nerwy i uczucie? Wierzymy. A jednak twierdzimy, że ta droga do celu nie powiedzie. Nie od dachu rozpoczyna się budowę domu, lecz od podwalin. Nie „Panteonu“ nam potrzeba, nie Akademij dla laureatów naszej literatury, lecz szkół i bibliotek ludowych, czytelń publicznych i wykładów popularnych, towarzystw oświatowych, spełniających należycie swe zadanie i innych instytucyj kulturalnych, społecznych, hygienicznych. Na te cele należy obrócić grosz publiczny, w tym przedewszystkiem kierunku wytężyć wszystkie siły umysłu i serca, a z czasem staniemy się społeczeństwem moralnie i materyalnie silnem i wtedy będzie można pomyśleć o urzeczywistnieniu niewczesnych dzisiaj projektów.

W obecnem naszem położeniu uważamy wzmiankowaną tu projektomanię za objaw szkodliwy wręcz, gdyż odwraca ona uwagę społeczeństwa od spraw istotnie ważnych i palących, a kieruje ją na szlaki pięknych, lecz czczych i nieziszczalnych marzeń. Zresztą sądzimy, że skuteczniejszą dla poparcia kultury i patryotyzmu naszego rzeczą byłoby rozsiać owe proponowane przez p. S. pomniki po kraju, miasto je wedle wzorów berlińskich gromadzić na szczupłej przestrzeni jednego parku, któryby z natury rzeczy przedewszystkiem jednemu miastu, w najlepszym razie kilku sąsiadującym z niem powiatom służył.

Przegląd rolniczy.

Początek jesieni jest zazwyczaj bardzo mozolny dla gospodarzy. Żniwo okopowizn oraz siewy zajmują wszelkie siły robocze i rolnik oblicza sobie roboty na dnie z obawą, aby zdążył zasiać przynajmniej przed 15. październikiem i sprzątnąć kartofle i buraki przed mrozem.

Celem sprzętu buraków i kartofli pracuje jesienią najwięcej ludzi w gospodarstwie, a ponieważ praca wykonywaną bywa na akord, można powiedzieć, że w czasie poprzedzającym zimę najintensywniej się na wsi pracuje. Nawet popularnie znojne żniwa nie wymagają tylu ludzi i tyle pracy, a nawet konie mniej się namęczą jak jesienią podczas uprawy ziemi i zasiewów. Dawniej nie było tyle roboty jesienią, mniej bowiem plantowano kartofli i mianowicie buraków cukrowych.

Buraki cukrowe zaczęto plantować dopiero za czasów Napoleona Bonapartego. Zamierzając bowiem zbojkotować Anglię, zamknął Napoleon granice kontynentu dla towarów kolonialnych i cukier z trzciny plantowanej w Indyach nie miał do Europy przystępu. Wtedy rozpoczęli gospodarze plantować buraki, aby jakokolwiek wyrównać brak cukru.

Z upadkiem Napoleona upadła też uprawa buraków, i znowu wprowadzono cukier zamorski. Cukier buraka nie wytrzymał bowiem konkurencyi tańszego cukru z trzciny, wyrabianego przez niewolników czarnych za wynagrodzeniem lichego wyżywienia, mieszkania i odzieży.

Gdy jednak rządy krajów cywilizowanych zaczęły znosić niewolnictwo około roku 1850, nastała znowu zmiana na korzyść buraka cukrowego.

Wolni ludzie nie chcieli bowiem uprawiać trzciny i pracować we fabryce pod temi samemi warunkami i oczywiście cukier z buraka wypadał równie tanio jak cukier z trzciny i uprawa buraka ustaliła się na dobre.

Dziś mamy w Niemczech buraków około 420 000 hektarów, a dziwne to się zdaje, skoro się wspomni, że dawniej nie znano wcale buraków, które rosły jako zielsko Beta fetosia w Persyi i nad brzegami morza Śródziemnego. Dopiero szereg wynalazków i analiz chemicznych dał burakowi dzisiejsze znaczenie. Jako pierwsi odznaczyli się chemicy Marggraf i Archard. Marggraf odłączył w buraku

cukier zdolny do krystalizacyi, a Archard wynalazł sposób wydobywania go z buraków i przerabiania.

Plantacya buraków ma doniosłe znaczenie dla całego naszego gospodarstwa. Wpływ ten sięga zazwyczaj tak daleko, że porzucenie plantacyi buraków jest krokiem w tył do ekstensywnego gospodarowania, gdyż plantowanie buraków podnosi wydajność ziemi, pozwala nam hodować większą ilość bydła, przyczynia się do większej produkcyi mierzwy i tem samem do wzmocnienia ziemi i podniesienia jej wartości.

Prof. Lilienthal doszedł po dokładnych badaniach w 8 gospodarstwach do następującego rezultatu:

Przez plantowanie buraków powiększyły się:

Ilość bydła w stosunku 100:115, wydajność ziarna w stosunku 100:111, ilość mierzwy w stosunku 100:132, ilość martwego inwentarza w stosunku 100:125, zasługi i robocizna w stosunku 100:141, czyste dochody w stosunku 100:134.

Plantacya buraków podnosi znacznie koszta gospodarstwa i o ile transport kolei na wozach lub koleją do cukrowni jest daleki, wtedy trzeba zrezygnować z buraków.

Wydajność z morga waha się pomiędzy 100 a 200 ctr. Skoro buraki wydadzą tylko 100 ctr. z morga, wtedy rolnik pracuje ze stratą. Wyhodowanie bowiem buraków na morgu kosztuje u nas w Księstwie najmniej 120 mrk., a na Zachodzie w Saksonii więcej.

Na mórg kosztuje siew tanio licząc 16—20 ft. 5,50 mrk., órka parowym pługiem razem z węglami 7,50 mrk., włóczenie i reszta uprawy 7,50 mrk., mierzwa stajenna 33,00 mrk., saletra chilijska 15,00 mrk., kainit 4,00 mrk., superfosfat 5,00 mrk., 3 haczki i przerywka 20,00 mrk., wybranie 1 morga 12,00 mrk., nieprzewidziane koszta, podatki i t. d. 11,50 mrk., razem 120,00 mrk.

Oto widzimy, że koszta na morgu są bardzo wielkie, a przytem obliczałem dość tanio mierzwę licząc 200 ctr. po 45 fen. = 90 mrk. Ponieważ mierzwa starczy na 3 lata, liczyłem na pierwszy rok li tylko mierzwy za 33 mrk. Ogólne koszta również dość tanio obliczyłem, są one bowiem o wiele większe, jeżeli administracya drogo wypada i gdy się obliczy spotrzebowanie wozów i porządków wszelkich, a wreszcie choroby i wypadki koni, które są przy mozolnej odstawie na porządku dziennym.

Obrachunek taki otworzy niejednemu oczy, kto wieś uważa za źródło bezdenne dochodu. Nieraz słyszałem zdania o rentowności gospodarstwa. Przytaczano między innemi, że mórg szparagów przynosi 1000 mrk. na czysto i robiono z tego wnioski, że niema jak posiadać wieś choćby jaknajmniejszą. Prawdą jest, że mórg szparagów przynosi w Erfurcie 1000 mrk., lecz zważywszy nakłady ogromne w robociźnie i kapitale nim się dojdzie do takich rezultatów, to oczywiście możnaby kupić za te same pieniądze nie kilka, lecz kilkanaście majątków ziemskich.

Czas mamy dość przekropny, przeto órka była łatwą, jednakże skiby tak poprzerastały, że brona sama do uprawy nie wystarcza. Krymrowanie powszechnie potrzebne, a miejscami na krzyż. Gliniaste ziemie uprawiają się dobrze ponieważ grupy, tworzące się na nich, łatwo rozbić tego roku.

Pogody jednak nam potrzeba czy do wybierek, czy do siewów.

Rusticanus.

Protest Ojca św.

Z powodu bluźnierczej mowy burmistrza rzymskiego żyda Nathana wystosował papież następujące pismo do kardynała Respighi:

„Przed dwoma dniami publiczny urzędnik przy wykonywaniu urzędu nie dość, że w sposób uroczysty przypomniał rocznicę dnia (zajęcia Rzymu), w którym uświęcone prawa papieskiej niezależności podeptane zostały, ale nawet podniósł swój głos, aby naukę wiary katolickiej i namiestnika Chrystusa na ziemi, a także Kościół św. sam lżyć i wyszydzać. Ponieważ odzywał się w imieniu Rzymu, który według uroczystych przyrzeczeń miał być uszanowaną i spokojną siedzibą papieży, dlatego napadł na nasze duchowne prawo, a ponieważ posunął się tak daleko, że publicznie w pogardę podawał czyny naszego apostolskiego urzędu i bezczelnie zaprzeczył posłannictwu, przez Jezusa Chrystusa powierzonego Piotrowi i jego następcom, używając przy tem myśli i słów bluźnierczych, dlatego odważył się do publicznego wystąpienia przeciw Boskiemu charakterowi Kościoła, przeciw prawdziwości zasad wiary św. i powadze soborów. A ponieważ z nienawiścią do Kościoła naturalnie łączy się jeszcze większa nienawiść przeciw każdemu objawowi chrześciańskiej pobożności, dlatego nie wahano się przez złośliwe słowa obrazić religijne uczucia ludu wierzącego. Wobec takiej ilości bezbożnych twierdzeń, które są tanie a bluźniercze, musimy głośno i z uprawnionem oburzeniem protestować a równocześnie przez Wasze, książe kardynale, pośrednictwo zwrócić uwagę wiernych synów Rzymu na bezustanne a coraz silniejsze obrazy, zadane religii katolickiej także ze strony władz publicznych — a nawet w siedzibie papieży. — To nowe stwierdzenie, bardzo bolesne, zapewnie nie ujdzie uwagi wszystkich wiernych całego świata katolickiego, których osoby są też obrażone, a którzy połączą się z synami Rzymu w gorącej modlitwie do Wszechmocnego, aby stanął w obronie swojej Boskiej oblubienicy, Kościoła, która w sposób niegodny bywa wyszydzaną przez coraz zjadliwsze obrazy i coraz ostrzejsze napady, skierowane przeciw niej przez nieprzyjaciół w niekaranej zuchwałości. Prosimy Boga, aby ku większemu honorowi wiecznego miasta owe nieznośne napady się nie powtarzały.“

Gazety donoszą, że rząd włoski zamierza usunąć Nathana z urzędu burmistrza, lecz w obawie przed masonami, których tenże jest wielkim mistrzem, ma zamiar zamianować go członkiem senatu. Co w tem prawdy, niebawem się pokaże. Do Watykanu napływają liczne protesty przeciwko skandalicznej mowie Nathana, która w całym świecie katolickim głębokie wywołała oburzenie.

Na widowni.

W chwili gdy piszemy te słowa, sensacyę dnia tworzą zacięte walki uliczne w Berlinie pomiędzy policyą a motłochem, który, skorzystawszy z niepokojów strejkowych wybuchłych pomiędzy robotnikami wielkiej moabickiej firmy węglowej Kupfera i Co., począł burzyć latarnie, okna wystawne, nawet na zbór protestancki napadł, przyczem przyszło do krwawych starć z policyą. Jakich rozmiarów to niepokoje, wynika z tego szczegółu, że na plac walki ściągnięto w pierwszym dniu rozruchów 100 konnych i 500 pieszych policyantów. Następnego dnia uruchomiono 1200 policyantów. Motłoch chodził tłumnie po kilka tysięcy chłopa i do-

puszczał się rozlicznych gwałtów. Pisma berlińskie poświęcają tej rewolucyi całe strony. Otóż próbka takiego referatu: Wieczorem krótko przed godz. 10 ponowiły się rozruchy w Moabicie. Gdy policya dobyła białej broni, by rozproszyć tumultantów, przeważnie wyrostków, poczęto rzucać na nią z okien flaszki, brykiety i skorupy. Policya poczęła strzelać do okien. O godz. pół do 11 przybył samochodem na miejsce prezydent policyi v. Jagow, ażeby się naocznie przekonać o wykroczeniach. W Waldstr. rzucano na policyę nocne naczynia i doniczki. Gdy policya wtargnęła do domu, jedna z kobiet rzuciła na policyantów palącą lampę, która jednakże zgasła.

Na ulicy rozpoczęła się wielka strzelanina z obu stron. Raniono dziewięćdziesiąt osób, w tem 13 osób bardzo niebezpiecznie. W całej tejże dzielnicy zburzono wszystkie lampy, bombardując kamieniami nacierającą policyę.

Około godz. 1 w nocy ul. Rostocker nagle rozjaśniała. Z domów powynoszono kłody drzewa, oblewano je naftą i zapalano.“

Znaczne zwycięstwo odnieśli Polacy w ostatnich wyborach knapszaftowych. Otóż wybrano w Westfalii 29 Polaków, w Nadrenii 1 Polaka jako starszych. Z tego tytułu pisze „Wiarus Polski“: Możemy być zadowoleni. Mamy 30 starostów naszych. Każdy z nich pobiera 540 mk. rocznej pensyi i 60 mk. na koszta biurowe. Do kieszeni ludu polskiego wraca zatem z kasy knapszaftowej 18 000 marek. To nie jest jedynym sukcesem. W najważniejszych miejscowościach załatwiać będą sprawy górników Polacy. To zwycięstwo największe. Socyaliści dopuszczali się nadużyć wobec Polaków. W niektórych miejscowościach ukazywały się odezwy podpisane przez rzekomych członków „Zjednoczenia Zawodowego Polskiego“, w których wzywano do głosowania na kandydatów „starego związku“. Centrowcy obwiniają Polaków za poniesioną klęskę.

Bardzo ważną uchwałę powzięto na ostatniem posiedzeniu poznańskiej rady miejskiej, mianowicie przyjęto jednogłośnie olbrzymi projekt regulacyi Warty. Koszta jej wynosić będą 5 milionów marek. Obecny projekt regulacyi wygotowany przez poznańskie biura techniczne urzędu robót ziemnych pod kierownictwem miejskiego radcy budowlanego Schulza uwzględnia nie tylko część Warty aż do miasta samego, lecz obejmuje Wartę przy Starołęce aż do Lubania, gdzie w ostatnich latach powstały wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe. Koszta projektu obliczono na 4 miliony 400.000 mrk. Z tych przypada na miasto 2 miliony 100 tysięcy marek, państwo daje 1 milion 900 tysięcy, prowincya 200 tysięcy, a dwa poznańskie powiaty wiejskie każdy 100.000 marek.

Obecny projekt jest wielkiej doniosłości dla żeglugi już dlatego, że usuwa przy moście chwaliszewskim wielkie zgięcie i przeprowadza Wartę przez pierwszy przekop pomiędzy Chwaliszewem a wyspą Tumską wprost za bramę szelągowską. — Port, urządzony w starem łożysku Warty, gdzie dziś jest most chwaliszewski, będzie miał długości 700 metrów i będzie co trzy dni świeżą wodą napuszczony. Wszystkie mosty, z wyjątkiem chwaliszewskiego i kolejowego przed wielką śluzą zostaną zupełnie zniesione. Niektóre z nich będą nowo budowane, inne znów rozszerzone i odpowiednio przedłużone. Oprócz tego przeprowadzonym zostanie wielki most z Grobli na Miasteczko, tak że będzie można przeprowadzić przez niego tor kolei powiatowej. Skutkiem zmian tych podniesie się znacznie wartość gruntów na Miasteczku, Ratajach i Główni, dokąd przeprowadzona zostanie kolej elektryczna przez ulicę Bydgoską i Zawady pod torem kolejowym.

We Lwowie odbyła się konferencya dwudziestu demokratycznych posłów celem zszeregowaniu żywiołów demokratycznych, stojących na gruncie polityki narodowej. Akcya ta wymierzona jest przeciwko narodowej demokracyi. W dyskusyi, która się na konferencyi rozwinęła, wybiły się dwa poglądy na plan pierwszy. Po pierwsze, ogólne przekonanie o potrzebie organizacyi żywiołów demokratycznych w kraju, celem wywierania należytego wpływu na tok spraw politycznych. Następnie wszyscy mówcy podnosili z naciskiem potrzebę złagodzenia wewnętrznych walk w Kole polskiem i wytworzenia, ewentualnie nawet przez zmianę statutu Koła, ściślejszej łączności i solidarności Koła polskiego. Do osiągnięcia tego celu służyć ma ściślejsza organizacya polskiej grupy demokratycznej, sejmowej i parlamentarnej, a następnie wszystkich żywiołów demokratycznych w kraju, którym metoda i środki działania narodowej demokracyi wydają się zgubnemi dla konsolidacyi demokratycznej społeczeństwa.

Na uwagę zasługuje rozłam, który się dokonał w partyi socyalistycznej na ostatnim zjeździe partyjnym w Magdeburgu. Przyszło tam do ostrych sporów z powodu stanowiska rewizyonistów, którzy w sejmie badeńskim głosowali za etatem. Jak wiadomo są radykali socyalistyczni zasadniczymi przeciwnikami wszelkiego popierania istniejących rządów, tego wymagają także uchwały dawniejszych zjazdów partyjnych jako też zasady partyi. Z powodu mowy rewizyonisty Franka, który zaznaczył, że i w przyszłości badeńscy socyalistyczni posłowie mogą się znaleść w takiem położeniu, że będą musieli działać wbrew uchwałom zjazdu, przeforsowali radykali uchwałę, żądającą wykluczenia z partyi tych posłów, którzyby się w przyszłości do uchwał zjazdów partyjnych nie stosowali. Może więc być, że będziemy świadkami zmian osób w poszczególnych sejmowych reprezentacyach socyalistycznych. Lecz wątpić należy, żeby te spory partyę jako taką znacznie osłabić miały. Dotychczas akcye socyalistów stale idą w górę. Biorą oni niemal wszystkie mandaty w wyborach uzupełniających. Obecnie mają w parlamencie już 52 posłów, a zgodna opinia polityczna stawia im świetne horoskopy na przyszłość.

„Z wrażeń jesiennych.“

Babie lato.

Mały przyziemny robak z piersi nitkę snuje,
I na zeschłych badylach misternie rozpina,
Chłodna rosa ją płucze, słoneczko bielchuje,
Aż powstanie przeczysta, srebrnawa tkanina.

Wiatr swawolny, co w sadzie źrzały owoc strząsa
I garściami pożółkłe liście z drzew obrywa
Wypadł z sadu wesoły i po miedzy pląsa,
Dojrzał srebrzystą tkankę, więc z krosien ją zrywa.

W pieszczocie lotnem skrzydłem w kłębuszek ją zwija
Nie dbając, że tkacz mały — nicią z nią złączony,
Razem z przędzą srebrzystą pod niebo się wzbija
I po czystym lazurze płynie upojony.

Przez chwilę drobny robak, co pełzał przy ziemi
Stał się cały marzeniem! Wszak on panem globu!
Oplącze całą ziemię sieciami swojemi,
Zdusi przemoc, łzy otrze, Zmarłą wskrzesi z grobu!

Ale słońce już nizko, a wiatr też się nuży,
Lotny żeglarz powietrzny spocząć także musi.
Spada gwałtownie pająk do brudnej kałuży
Błoto—tkacza, tkaninę i marzenia zdusi!

F. Murzynowska.

Grabów, d. 16. 9. 1910 r.

Pierwsze polskie regaty wioślarskie w Poznaniu.



Rycina I. Przed przystanią. Przygotowania do regat.

W niedzielę, dnia 25-go września po południu, odbyły się na Warcie pierwsze wyścigi wioślarskie urządzone przez tutejszy ruchliwy Klub Wioślarski. Przy pięknej pogodzie zgromadziła się na przystani Klubu liczna, bardzo doborowa publiczność, poza tem całe tłumy wzdłuż brzegów Warty przypatrywały się interesującym zapasom.

Zanim opiszemy przebieg regat, podzielimy się z czytelnikami szczegółami co do przygotowań i rozmaitych trudności, jakie pokonać należy, zanim dzieło takie przyjdzie do skutku.

Do sześciu biegów tedy, jakie Klub wystawił, potrzeba do wypełnienia załóg około 30-tu wiosłujących. Najtrudniejszem zadaniem trenerów, to dobranie sobie załóg wyścigowych, zwłaszcza, gdy czynnych członków Klub przeciętnie nie więcej liczy jak 25—40. Po zestawieniu załóg rozpoczyna się właściwy trening, podczas którego następują jeszcze rozmaite zmiany w obradach, przeszkody z braku czasu lub nieobowiązkowości u ćwiczących itp. Dużo tedy energii i wysiłków potrzeba, aby przeprowadzić taki prawidłowy, kilkotygodniowy trening. Zważyć przytem należy, że załogi składają się przeważnie z młodzieży zajętej w swych zawodach od rana do wieczora, ćwiczenia więc mogą odbywać się w obecnej porze tylko rychłym rankiem od 6—8. Z wytrwałością godną uznania poddawali się tak juniorzy jak seniorzy rozkazom swoich sterników i trenerów i dzięki temu też osiągnięto zamierzony cel.

Nadszedł dzień regat.

Już od rana wre życie w przystani wioślarskiej (zob. ryc. 1); tu i tam uzupełnia się niejedne braki, dogląda, czy wszystko w porządku.

Przed rozpoczęciem regat od niedawna wybrany, lecz z całym zapałem sprawie oddany prezes p. Ludwik Frankiewicz w otoczeniu komisyi Regatowej ostatnie dozoruje rozporządzenia (rycina 2).

Już odbiły do startu (miejsce rozpoczęcia wyścigu) skulingi (jednójki), stawające do pierwszego biegu.

Starterzy: pp. Załuski — najlepszy znawca i nauczyciel naszego wioślarstwa, — i Kontrowicz puszczają w bieg zapaśników. Niezadługo też poruszenie wśród publiczności wskazuje, że współzawodnicy — Weychman i Feder — nadjeżdżają do mety. Wtajemniczeni są pewni wygranej Weychmana, boć wsławił on Klub poznański zwycięstwami na skulingu w Warszawie i Płocku, ale tym razem nie łatwą miał robotę; p. Feder bowiem uległ Weychmanowi tylko „o włosek“ (2 sek. różnicy).

Z biegów następnych największem zainteresowaniem cieszył się bieg II juniorów w czterowiosłówkach na 2000 mtr. Załogi tworzyli: I. Sternik Drygas Leon sen., wioślarze: Karwatka, Skarzyński, Szyc i Duczmal. II. Sternik: Budzyński Franc., wioślarze: Drygas M. jun., Paulus, Witowiak, Kolasiński.

Przeciwnicy już dawno przed regatami z wielką zawziętością współzawodniczyli z sobą, a załogi były tak doskonale zgrane, że członkowie z największem zaciekawieniem oczekiwali wyniku tego biegu. Zwyciężyła doskonale wyćwiczona czwórka Drygasa Leona, która mimo szalonego wysiłku sprawnie i w jak najlepszej formie minęła metę w 7 min. 5 sek. (Rycina 3). Pokonana załoga jednakże znakomicie się trzymała, bo nadbiegła tylko o 10 sekund później (rycina 4).

Rycina 5 przedstawia nam zwycięską załogę w biegu III. seniorów w dwójkach na 2000 mtr. Są to znani nam już pp. Weychman i Feder. W biegu IV. juniorów w dwójkach na 1000 mtr. pierwszeństwo odniosła załoga Budzyńskiego z wioślarzami Bąkowskim i Sobeckim. Na rycinie 6 widać, że wydali oni ze siebie ostatek sił. Sternik nie pozwolił wyczerpanej do cna załodze swej spocząć ani na chwilę i głośnem napędzaniem wymógł dla swej łodzi trudne zwycięstwo. Następna rycina 7 pokazuje nam zwycięzcę Kolasińskiego w biegu V. juniorów w skulingach na 1000 mtr. Młoda ta, ale dzielna siła rokuje jaknajlepsze na przyszłość nadzieje.

Sąd regatowy tworzyli pp. wiceprezes Jesionek, Bolt, Milachowski i Degórski, i jako arbiter naczelnik Klubu p. Czaykowski. (x) Z łodzi motorowej śledzili oni przebieg poszczególnych wyścigów (rycina 8).



Rycina 2. **Pierwsze polskie regaty w Poznaniu.**
Przed rozpoczęciem regat. Prezes Klubu Wioślarskiego Ludwik Frankiewicz. (X)

Regaty zakończono humorystycznym dodatkiem, który wśród widzów wzbudził mieszane uczucia obawy i wesołości. Krótko po biegu skulingów wysunęły się 3 kajaki (małe czołenka zw. podelbotami). W jednym z nich naczelnik i wicenaczelnik pp. Czaykowski z Drygasem, w drugim Posieczek, w

trzecim Weychman. Są to w języku wioślarskim „szczury wodne“, które w nastaniem wiosny pierwsze zanurzają się w falach Warty, a późną jesienią jeszcze często je w wodzie się spotyka. Z wielkim zamachem posuwała się ta dziwna czwórka, egzotycznie przystrojona, naprzód, gdy wtem przed samą



Rycina 3. **Pierwsze polskie regaty w Poznaniu.**
Zwycięska czwórka juniorów; dystans 2000 mtr., czas 7 min. 15 sek.
Przy sterze: Drygas Leon, wioślarze: Karwatka, Skarzyński, Szyc i Duczmal.

metą następuje ogólny karambolaż i wszyscy toną w wodzie. Wśród widzów zapanował popłoch, mianowicie panie w niepokoju o los załogi. 11 stopni Celzyusza, to nie bagatela. Niedługo jednak wyłoniły się śmiejące twarze tonących, a w kilku długich susach, ciągnąc łodzie za sobą, przybiły „wodne szczury“ do brzegu.

Z wielkiem zadowoleniem opuszczała publiczność regaty, które pod każdym względem udały się świetnie.

Klisze zamieszczone sporządzone są według fotografij, wykonanych w specyalnym zakładzie „Camera“ przy ulicy Rycerskiej (właściciel p. Z. Śniegocki).

Wiadomości.

— Niniejszy numer jest pierwszym w bieżącym, nowym kwartale. Czas jeszcze odnowić przedpłatę na miesiące: październik, listopad i grudzień, gdyż poczta jest zobowiązana dostarczyć zaległe numera.

— Tylko stałą i wytrwałą agitacyą można rozpowszechnić gazetę, dla tego prosimy Szanownych Czytelników naszych, aby przy każdej sposobności zachęcali sąsiadów i znajomych do zapisywania sobie „Pracy.“ „Praca“ jest najodpowiedniejszem i najtańszem dla rodzin wszelkich stanów illustrowanem pismem tygodniowem.

— Przy grach i zabawach, przy uroczystościach publicznych i podczas zebrań towarzyskich — wszędzie i zawsze pamiętajmy o składkach, choćby groszowych, na Dar Grunwaldzki dla Towarzystwa Czytelni ludowej.

— **„Nasz kącik.“** Zapowiedzianą w numerze 39-tym zagadkę rachunkową zmuszeni byliśmy dla braku miejsca odłożyć do następnego numeru.

— **Pogadanka dla matek** odbędzie się w niedzielę dnia 2-go października w resursie kupieckiej (św. Marcin 68) o godz. 5-tej po południu.

Pan Dr. Schroeder będzie mówił o hygienie jamy ustnej. Ze względu na ważne wskazówki i objaśnienia, tyczące się pielęgnowania zębów, których udzieli p. Dr. Schroeder, prosimy matki o liczne przybycie.

— **„Święto Pomony.“** Dnia 9-go października 1910 w niedzielę urządza Dział panien Towarzystwa św. Wincentego a Paulo na salce Resursy Kupieckiej św. Marcin 68 wentę, na której sprzedawane będą owoce i wszelkie owocowe produkta, jako to: konserwy, konfitury, galarety, wina owocowe i t. d. Bufet zaopatrzony będzie w kawę, herbatę, pieczywo, słodycze, zakąski. Otwarcie o godz. 12-tej w południe. Wstęp 25 fen., dzieci 10 fen.

Dochód przeznaczony na gwiazdkę dla biednych miasta Poznania. Ze względu na cel piękny, prosimy usilnie o poparcie usiłowań panien urządzających wentę i o jak najliczniejszy w niej udział. Także i z praktycznych pobudek warto podążyć dnia 9-go października na salkę resursy. Dobroczynność z praktycznością i przyjemnością połączona jak najliczniejsze ściągnąć powinna zastępy.

— **Dla weterana z 1863-go roku** (patrz Wiadomości w zeszłym numerze na stronie 1223-ciej) nadesłali pp. Hieronim Tilgner z Berlina 3 mrk., S. z Poznania 50 fen., oraz p. J. Zawitaj z Bydgoszczy 2 mrk. z następującym dopiskiem:

Dla szanownego weterana z 1863-go roku dwie marki. Rodacy! nie dopuśćmy, aby szanowny weteran ostatnie swe lata spędzał w nędzy i niedostatku. Niech każdy pospieszy z pomocą, bo dwa razy daje ten, kto zaraz daje!

Zasyłam czcigodnemu weteranowi serdeczne pozdrowienie.

Dalsze datki przyjmujemy.

— **Dla biednej wdowy,** która ma złamaną nogę, (patrz Wiadomości w nr. 38-mym na stronie 1139) nadesłali w dalszym ciągu pp. J. Zawitaj z Bydgoszczy 2 mrk., S. z Poznania 50 fen.

Dalsze datki przyjmujemy.

— **Z Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych.** Wielką niespodziankę zgotuje społeczeństwu Tow. Przyj. sztuk pięknych w Poznaniu wystawą zakopiańską, którą otworzy w pierwszych dniach października. Wystawa ta da całokształt sztuki pohalańskiej i składać się będzie z obrazów, rzeźb, wyrobów sztuki stosowanej i fotografij architektonicznych.

W listopadzie odbędzie się wystawa artystów lwowskich, specyalnie Rozwadowskiego, w grudniu wystawa artystów paryskich, w styczniu berlińskich, a w lutym i marcu artystów warszawskich. Oprócz tego urządzi Towarzystwo szereg odczytów z dziedziny sztuki, a na zebraniach zarządu, na które teraz członkowie i artyści bez wszystkiego mieć będą przystęp, pogadanki artystyczne.

W grudniu wyda Towarzystwo premię, składającą się z wytwornej kolorowej reprodukcyi jednego z najcenniejszych obrazów Muzeum imienia Mielżyńskich w Poznaniu. W styczniu odbędzie się wylosowanie przeszło 20 obrazów.

W końcu roku odbędzie się walne zebranie, na którem największy udział członków jest pożądany.

Z początkiem nowego roku urządzi Towarzystwo konkurs na godło Tow. Przyj. sztuk pięknych w Poznaniu, a dalej małą czytelnię w specyalnie na ten cel urządzonym saloniku na wystawie. Na życzenie urządzi Towarzystwo jak i w roku zeszłym popularne odczyty o poszczególnych wystawach dla towarzystw po cenie bardzo nizkiej, ażeby w ten sposób zapoznać szersze warstwy ze sztuką i zainteresować je dla niej.

W ostatnim roku urządziło Tow. szereg wystaw specyalnych: Sztuki krakowskiej, Wyspiańskiego, Wyczółkowskiego, Mehoffera i artystów wielkopolskich z uwzględnieniem sztuki rzeźbiarskiej i witraży Żeleńskiego, oraz kilka odczytów np. Henryka Nostitz-Jackowskiego, art. mal. z Paryża na temat: „Co to jest obraz?“ i dwa odczyty literata Ludwika Morstina z Berlina o Wyspiańskim, a ostatecznie oprowadzało kilkanaście towarzystw z miasta i prowincyi po wystawach.

Wkrótce będzie Tow. wysyłało bilety na 1911. r. i prosi członków o łaskawe odebranie ich za wpłaceniem 10 mrk. Towarzystwo prosi również, jako artystyczna instytucya o celach czysto ideowych, a zaagitowanie na rzecz pozyskania Towarzystwu nowych członków nietylko w Poznaniu samym, ale w każdym powiecie ziem zaboru pruskiego. Posiadający kartę roczną mają również prawo z całą rodziną zwiedzać wystawę bez żadnej dopłaty. Zgłoszenia na członków przyjmuje sekretaryat (adres dla listów Tow. Przyj. sztuk pięknych, Poznań Posen — ul. Bismarka 8.), który wyśle statuty i premie.

— **„Wieś polska,“** obrazki do wycinania. Cena zeszytu 60 fen. Wydawnictwo spółki „Znicz“ w Poznaniu. Litografia i druk F. K. Ziółkowskiego w Pleszewie.“ Pod tym tytułme ofiaruje „Znicz“ dziatkom naszym ku nauce i zabawie pięknie w kolorach wykonane album o 6 kartonach z 40 większymi i mniejszymi obrazkami. Jest tam dwór i kościółek, zagroda i chata, kuźnia i stodoła, chlewy, gołębnik, wiatrak i studnia z żurawiem. Tam pasie się stadko owiec, owdzie orze wieśniak skiby „świętej ziemi.“ Na łące jest sianobranie, a dzieci tańczą w „kółko,“ Jaś przygrywa Kasi. Pasterka i gęsi, kaczki na wodzie, bociany, indyk, kogucik i t. p. urozmaicają całość. Dalej są żniwiarze, żniwiarki na „Wieńcu,“ dudziarz i skrzypek, wesele wielkopolskie z drużbą, swatami i swachnami. Wszystko to swojskie, w ludowych strojach, tak miłe robi wrażenie, że oglądać obrazki będą z przyjemnością starzy, a młodzi, bawiąc się wchłaniać w siebie będą ten zapach łąk i pól naszych, tę swobodę i wesołość wiejską. I niejeden mieszczuch lub rodak na obczyźnie

wspomni ze łzą w oku na lata spędzone na wsi polskiej, a zapragnie może powrócić do tych miłych stron rodzinnych.

I pod względem pedagogicznym jest „Wieś polska" cennym nabytkiem, bo nadaje się doskonale do nauki poglądowej, to jest do omawiania z dzieckiem 3 do 6-letniem przedmiotów i osób na obrazkach. Przy takiej nauce pomnaża się liczbę pojęć, rozbudza się umysł dziecka i usposabia je do umiłowania rzeczy swojskich, ojczystych. Polecając więc usilnie tę piękną, a tanią „Wieś polską," nadmieniamy, iż nabywać ją można, jako i inne wydawnictwa „Znicza" przez wszystkie księgarnie, składy papieru, zabawek, towarów galanteryjnych. Interesenci zechcą się zwracać do członka zarządu „Znicza" pana Włodzimierza Adamskiego w firmie C. Adamski, Poznań — Bazar.

— **Lipsk.** Na uniwersytecie tutejszym uzyskał stopień **doktora medycyny** rodak nasz, p. **Leonard Szadkowski** z Jarocina. Szan. Rodakowi szczęść Boże!

Nekrologia.

† **Ś. p. Wojciech Nowak.** Dnia 22-go z. m. odbył się w Inowrocławiu pogrzeb ś. p. Wojciecha Nowaka, byłego obywatela z Jaksic pod Inowrocławiem. Ś. p. Nowak przeżył lat 84; był znany na Kujawach jako wzorowy gospodarz, słynny z wystaw koni i bydła. Posiadłość swą sprzedał w Jaksicach z powodu podeszłego wieku Polakowi pomimo, że obci więcej mu dać chcieli. Mimo dość kiepskiego powietrza oddało ś. p. Wojciechowi liczne grono obywateli miejskich i wiejskich ostatnią przysługę. Kondukt żałobny, prowadził ks. Zielińiski w asystencyi kilku księży. Kujawy straciły w ś. p. Nowaku dzielnego obywatela, z którego mógłby niejeden wziąć przykład co do skromności, pracowitości, oszczędności i charakteru.

Cześć Jego pamięci! Pokój Jego duszy!

Jeden z **wielu**

† **Ś. p. Władysław Antoniewicz**, emeryt, rektor i nauczyciel, dnia 22-go z. m. w Krotoszynie w 82-gim roku życia. Pogrzeb odbył się dnia 25-go z. m. w Śremie. — **Ś. p. Jadwiga Pajzderska z Bibrowiczów**, dnia 21-go z. m. w Chinach. — **Ś. p. Jan Banaszek**, dnia 18-go z. m. w Samostrzelu. Nieboszczyk był przeszło 43 lat kamerdynerem w rodzinie hr. Bnińskich. — **Ś. p. Pelagia Mołkow**, dnia 24-go z. m. w Poznaniu. — **Ś. p. Florentyna z Bojanowskich Wilkońska** w Poznaniu. — **Ś. p. Józef Stanisz**, dnia 24-go z. m. w Jarocinie w 73-cim roku życia. — **Ś. p. Zofia z Tkielów Wnukowska**, dnia 24-go z. m. we Wrocławiu, przeżywszy 46 lat. — **Ś. p. Stefan Wędzicki**, dnia 24-go z. m. w 49-tym roku życia. — **Ś. p. Michał Szumnarski**, mistrz piekarski, dnia 25-go z. m. w Reklinghausen-Süd, przeżywszy lat 47. — R. i. p.

Od Redakcyi.

Panu P. M. w E. Masz Pan słuszność zupełną, lecz dla „Pracy" się ten „wiersz" nie nadaje. Pozdrawiamy!

Pani Jadwidze K. w R. (pow. śremski). Jeżeli szwagier należnych Pani pieniędzy nie wypłaca, winna go Pani do tego zmusić przez sąd. Najlepiej sprawę oddać adwokatowi. Innej rady nie ma.



Ks. profesor Dr. Kazimierz Zimmermann opuścił dnia 26-go z. m. Poznań, udając się do Krakowa, celem objęcia tamże katedry socyologii chrześciańskiej przy wydziale teologicznym uniwersytetu Jagiellońskiego. W ubiegłą niedzielę żegnało go grono przyjaciół w Mogilnie u ks. prałata Wawrzyniaka.

D. Wirtoszewi. — Wiersz p. t. „Cześć Orzeszkowej" nie będzie zamieszczony w „Pracy".

Pani Mani z P. „O gwiazdeczko coś błyszczała" istotnie śliczna poczya... ale czyżby to pani naprawdę sama „ułożyła"?... Nie wierzymy!

Panu Marwiczowi. Niestety nie podobna nam było umieścić całej krytyki Pańskiej, gdyż referat naszego sprawozdawcy teatralnego był już ustawiony. Zrobiliśmy jednak, co było możliwe, tj. ucięliśmy daleko krótszy i mniej szczegółowy wstęp naszej krytyki, a daliśmy w to miejsce Pańską eksplikacyę tragedyi. Jak się Szan. Pan przekonasz, nie wiele mniej od Niego jesteśmy rozgoryczeni sposobem traktowania dramatu, lubo naszemu niezadowoleniu łagodniejszy dajemy wyraz. Także uwagi Pańskie zwrócone w stronę publiczności i w stronę t. zw. „kubla" najzupełniej podzielamy.

Nowe książki i treść pism.

— **„Filareta".** Pod tym tytułem zacznie wychodzić od Nowego Roku miesięcznik poświęcony sprawom dorosłej inteligentnej młodzieży. Pismo to — jak się dowiadujemy — wydawać będzie grono młodych pracowników w dziedzinie literackiej przy pomocy wytrawnych i doświadczonych publicystów. Celem „Filarety" będzie skupiać młodzież naszą pod sztandarem polskim i katolickim, wytwarzać łączność z młodzieżą polską zakordonową i informować o wszystkiem, co w dziedzinie nauki, literatury, sztuki i życia społecznego ma dla niej donioślejsze znaczenie.

Numer okazowy „Filarety" pojawi się w listopadzie i zawierać będzie szczegółowy program pisma, spis współpracowników i t. d. Ponieważ redakcya rozsyła listopadowy zeszyt „Filarety" bezpłatnie, przeto prosimy czytelników zgłaszać się poń, podając adres swój Redakcyi „Filarety" Poznań, ul. Rycerska 38.

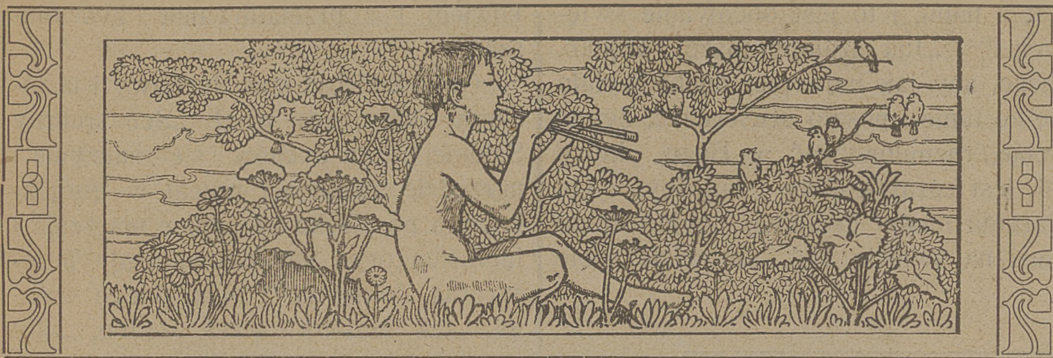
— **W ostatnich dniach** wyszła nakładem „Macierzy Polskiej" niezmiernie interesująca książeczka p. t. **„Dziesięć lat niewoli moskiewskiej"** na podstawie Pamiętników Juliana Jasieńczyka opowiedział Józef Ciembroniewicz. Cena 50 Hal.

— Niebawem opuści prasę nowe wydawnictwo księgarni Zdzisława Rzepeckiego i Ski pod tytułem: **„Ojczyzna w piśmie i pomnikach,"** dzieło zawierające obraz piśmiennictwa polskiego napisane przez Helenę Rzepecką.

Książka ta zawiera cenny skarb przytoczeń (cytatów) z ważniejszych dzieł wszystkich epok naszego piśmiennictwa zwłaszcza tych pisarzy, o których utwory trudno w miejscowościach pozbawionych znaczniejszych bibliotek. Daje ona bogatą treść czytelnikowi, który znajdzie w niej gotowy już kompletnie materyał do wykładów, odczytów i deklamacyi. Tom I. zawiera pogląd na początki i rozwój kultury naszej wogóle na piśmiennictwo polsko-łacińskie, powstanie literatury rodzimej, złotego wieku zygmuntowskiego i siedemnastego. Tom II. rozbiera szczegółowo pisarzy stanisławowskich, naszą wielką literaturę narodową na wychodztwie i doby najnowszej.

Oba tomy zawierają przeszło 500 rycin i liczne barwne obrazy. Okładka artystyczna pomysłu artysty-malarza Wiktora Gosienieckiego z Gniezna wykonana z wyciskiem w kilku kolorach przedstawia się okazale. Cena Mrk. 18 za oba tomy ze względu na obfitość materyału (60 arkuszy czyli około tysiąca stronnic) i mnogość rycin jest stanowczo umiarkowana tem więcej, iż dzieła nabywać można na raty po 3 mrk. miesięcznie. To też nie wątpimy, że nowe wydawnictwo znajdzie u nas niebywały pokup.

Reklamy.



„Sen srebrny Salomei"

Romans historyczny Juliusza Słowackiego w 5-ciu aktach czyli 10-ciu obrazach.

Ten sen nie srebrny, ale krwawy, bo pełen krwi i okropności, powstał jako uboczna koncepcya „Beniowskiego", zamykająca tragiczne losy rodziny Gruszczyńskich, a osnuta na tle historycznem rzezi ukraińskiej w r. 1768. Prawda i poezya mieszają się tu jednak do niepoznania.

Na pozór zdaje się to być tylko proste, udramatyzowane opowiadanie o dwóch małżeństwach, skojarzonych dopiero skutkiem przeróżnych nieszczęść osobistych i krajowych — które może dla tego nazwał poeta „romansem dramatycznym. Po za tym światem widzialnym jest jednak cały świat potęg niewidzialnych, kierujących akcyą całą. Każdy niemal krok w postępie tego dramatu polega na wstawiennictwie władz nadzmysłowych.

Powstanie tego utworu ginie w pomroku mistycyzmu poety, kiedy umysł jego z wątpiącego i skłonnego do szyderstwa stał się naiwnie, a żarliwie wierzącym. Rozwija on tu myśl, że grzech pychy i nieposłuszeństwa względem natchnienia Bożego, spływającego we śnie, w wizyi, musi być odpokutowany szeregiem cierpień dotkliwych i krwawych. I tak Gruszczyński, człowiek skądinąd uczciwy, dlatego, że nie poszedł za natchnieniem ducha, nakazującem mu udanie się do konfederacyi barskiej zostaje ukarany nietylko pohańbieniem córki przez syna przyjaciela swego, któremu ją powierzył w opiekę, ale nadto wymordowaniem przez hajdamaków całej swej rodziny. Regimentarz zaś, grzeszący pychą rodową i nieuwzględnieniem praw miłości — chciał bowiem syna swego połączyć z księżniczką, choć tenże kochał Salusię Gruszczyńską — odcierpieć to musiał na synu, który, pobity przez hajdamaków, popadł w przerażające obłąkanie. Dopiero po udręce tej, kiedy ugiął się przed Panem, zrozumiał znaczenie pokory, odrzucił przesąd rodowy i uznał prawo miłości, wtedy dopiero został obdarzony szczęściem, syn jego odzyskał zmysły, a Salusia, poczytywana za umarłą, zjawia się żywa i może wziąć ślub z ukochanym.

Utwór ten był więc owocem nowej wiary, w którą pogrążył całą plejadę ówczesnych poetów naszych siłą mistycyzmu swego Towiański. Wiara ta była zgubną, gdyż polegała na przekonaniu, że wszystko prawdziwie piękne i wielkie, czego człowiek dokonywa, staje się nie jego własną zasługą, ale dzieje się za sprawą należnego doń ducha.

Słowacki czuł też w owym okresie nieprzepartą potrzebę pisania. Pisał więc jednym tchem „jak szalony, chcąc, aby jak najwięcej ducha wylało się" z niego i lękał się odczytać słów własnych, które „bez ładu i z przeładowaniem być muszą" — jak pisał w tym czasie do matki. Pomysły i obrazy, cisnące się do gorączkowej wyobraźni, uważał sobie za przesłane z woli wyższej i pisał bezkrytycznie. Nie był już wtedy Słowacki względem utworów swoich sędzią ani twórcą odpowiedzialnym, lecz jedynie ślepem narzędziem ducha.

Rozbieżność wtrąconych do głównej a ubogiej akcyi pomysłów utrudniają postawienie jednolitej syntezy, która jest też różną u Chmielowskiego i Małeckiego, a inną u Tarnowskiego i Hoesicka. Gdyby związek między osnową sztuki, stawioną bądź co bądź na pierwszym planie, a temi ideami ogólniejszego znaczenia był wydatniejszy; gdyby te idee były jaśniej sformułowane i artystycznie wcielone w odpowiednią formę dramatu — byłoby to jedno z arcydzieł naszych. To, co widzimy, jest tylko olśniewającą językiem i zdumiewającą świetnemi parabolami improwizacyą poetycką.

Jedna przecież jasna myśl widnieje z tych kart krwawych: usprawiedliwiając łotrostwo Leona pychą rodową, a mezalians księżniczki dokumentami zatwierdzając rodowymi, wyszydził Słowacki przez usta Semenki istniejący jeszcze w społeczeństwie przesąd szlachectwa rodu i przeciwstawił tu jedyny życia wskaźnik — *szlachectwo myśli i czynu!*

Marwicz.

* * *

Niedawno temu pojawiły się staraniem ks. K. I. Kantaka, a nakładem Miarki pisma pośmiertne Juliusza. Ostatnie dwa tomy zawierają komplet listów Słowackiego. Z nich to zaczerpnąć możemy najautentyczniejszych szczegółów odźwierciedlających duchowy i uczuciowy nastrój, pod którego zaklęciem powstał interesujący nas tutaj dramat.

Przytaczamy kilka wyjątków z listu pisanego do matki dnia 28-go lipca



Rycina 4. **Pierwsze polskie regaty w Poznaniu.**
Czwórka juniorów podczas ćwiczeń przed regatami.
Na sterze: Budzyński. Wioślarze: Kolasiński, Witowiak, Paulus, Drygas jun.

1843 r., a więc w czasie, gdy Słowacki przygotowywał „Sen srebrny Salomei,“ pisze bowiem: „wkrótce, zda mi się, nowe dziecię w świat wyślę, gdzie jedna z osóbek chrzestnych nosi imię twoje“. (Matce poety p. drowej Bécu było zaś na imię Salomea). Znajdujemy w tym liście takie zdania:



Rycina 5. **Pierwsze polskie regaty w Poznaniu.**
Zwycięska dwójka seniorów (2000 mtr.) Przy sterze: Pełczyński, wioślarze: Feder i Weychman.

„Wiara przychodzi nam w pomoc, a przewidzenie pośmiertnych rzeczy, to jest rozwiądnienie pozatrumniane losu naszego, jest prawdziwym cudem nad tą epoką. Ty wiesz, droga, ile nikłych marzeń snuło się nam po głowie, kiedyśmy się zagłębiali w tę mgłę pełną melancholii, w którą kiedyś wejść musimy i zniknąć. Otóż wiele z tych myśli przelotnych było prawdziwemi natchnieniami... A któż tak śnił? Oto piękniejsze tylko dusze, które zwano poetycznemi, albo fantastycznemi. A teraz.... człowiek jeden jaśniej widzący rzeczy Boskie, (Towiański red.) odkrył niezgłębioną prawie czeluść przyszłości, w której wszystko to się znajduje, co my śnili, ale logicznie powiązane, ale religijne...“ „świat cały jest fabryką ducha, wyrabiającego w sobie miłość dla Boga, więc wszystko stworzenie ma to za cel, a nie kończy się to na człowieku, ale idzie wyżej, i tak kolumna ta duchów kończy się na najczystszych, na najbardziej wyrobionych, najwięcej miłosnych...“ „wystaw więc sobie, że duch każdy ma swoją misyę na ziemi, że duch każdy zawięzuje stosunki z podobnymi duchami bez ciała już będącymi, które także podobną misyę mieli i o dokończenie jej dbają; możemy więc uczuciem łączyć się z niemi, a one wtenczas dają nam natchnienia, a według naszej wiary i czystości coraz wyraźniej je mówią do serc, a potem nieraz do uszu i oczu. Cały więc lud nasz umarły dawno jest z nami, i to jest obcowanie świętych...“ „Jak szalony piszę prędko, chcąc, aby jak najwięcej ducha wylało się ze mnie i poszło utwierdzać, żywić ciebie, rozmiłowywać w Bogu, który tak jest sprawiedliwy i miłośny... On staremu memu duchowi, co już długo musi na świecie żyć, bo wiele sobie przypomina z dawnych żywotów, pozwolił teraz dowiedzieć się nareszcie, jak mam dopełnić misyi, abym nie potrzebował już wracać i oblekać gorsze lub lepsze ciało, ale abym już poszedł między aniołów i stamtąd jeszcze natchnieniami, miłością dopomagał tym, co idą za mną. Otoż to są dary, na które wiele ludzi nie zasłużyło. Ci, choć usłyszą o prawdzie, nie poczują jeszcze i nie wierzą, bo kto nie gotów, aby uczuł, ten uczuć nie może i byłby to największy cud duchowy, gdyby uczuł. Nic dziw się więc, droga, że wielu ludzi odepchną od siebie te rzeczy Boskie, że będą je jeszcze brać za egzaltacyę, nie wiedząc, że egzaltacya prawdziwa ducha Bożego jest celem nawet wyrabiającym się już w kamieniu. Pisałem tak, żem się aż zmęczył i lękam się odczytać słów napisanych, bez ładu bowiem i z przeładowania być muszą...“

Otóż, jaki był stan duchowy i uczuciowy poety, gdy pisał „Sen srebrny Salomei“. Za duchów się naczynie i narzędzie uważając, rzucał w gorączkowym pospiechu na papier marzenia i fantasmagorye egzaltowanego przewrotną doktryną Towiańskiego mózgu, „jak szalony“ pisał prędko, „aby się zeń jaknajwięcej ducha wylało“, „lękał się odczytać nawet słów napisanych“, wiedział bowiem i czuł, że są „bez ładu“, lecz nie śmiał dawać do siebie przystępu refleksyi, aby nie skazić natchnienia duchów, aby się nie sprzeniewierzyć przekazanej sobie przez nich misyi. Że w taki sposób nie pisze się dramatów — nie potrzeba tłumaczyć. Że dzieło w ten sposób powstałe nie będzie arcydziełem, samo się przez się rozumie.

To też, gdy nadesłał matce manuskrypt „Snu srebrnego Salomei“, p. drowa Bécu, osoba wielce wykształcona i subtelna, przeraziła się zbłąkaniem umysłowości ukochanego syna i stroskana o jego sławę poetycką zaklęła go, by nie spieszył się z drukowaniem utworu, lecz ochłonąwszy z gorączki, odczytał utwór swój krytycznie, jak gdyby był dziełem innego pisarza. Lecz Słowacki nieprzystępnym był dla rozsądnych rad matczynych.

Jakoż pojawiło się dzieło w druku ku zdumieniu i zgorszeniu współczesnych. Wcześnie jednak i sam Słowacki poznał nieudolność utworów w szale towianistycznym napisanych. Świadczy o tem list z dnia 12-go stycznia 1846 r. pisany do Krasińskiego,



Rycin 6. **Pierwsze polskie regaty w Poznaniu.**
Zwycięska dwójka juniorów. Przy sterze Budzyński, wioslarze: Bąkowski i Sobecki.

gdzie o „księdzu Marku“ pisze: „Obrałem księdza — a sama nędza w wykonaniu świadczy, żem o szaleństwie pisał. Jak kochanek, który w bezsennej nocy list pełen dziwów i wulkanów napisze, a rankiem sam się dziwi wczorajszej głupocie, podobnie ja, aż po napisaniu dramatu obaczyłem i

wątłość dzieła i boleśniejsze jeszcze różne zeń prosto wylatujące strzały, które wszakże, Bóg mi świadkiem, nie w twórczości godzinie, ani przed tą świętą chwilą ze mnie wypadły.“

Żeby Słowacki nie wahał się tych samych słów wypowiedzieć o „Śnie Salomei“, że nawet mówiąc o „Księdzu Marku“ także „Sen srebrny Salomei“ miał na myśli, dziś trudno wątpić.

Na wyż wyszczególniony list i z innego względu należy zwrócić uwagę, mianowicie objaśni on czytelnika o wprost do wiary niepodobnej zależności Słowackiego od „duchów“ za czasów swej fatalnej epizody towianistycznej.

Wogóle był Słowacki zawsze przystępny wpływom obcym. W pierwszej dobie twórczości, na którą przypadają poematy takie jak „Mnich,“ „Arab,“ „Żmija,“ „Lambro,“ uwydatniają się przemożne wpływy Byrona. Pisząc „Baladynę,“ „Lilę Wenedę,“ „Mazepę“ stał pod wpływem Szekspira. Pod urokiem i w antagoniźmie do Mickiewiczowskich „Dziadów“ powstał „Kordyan“ ze swym hamletowskim bohaterem. Cóż się dziwić, że on, urodzony fantasta i wizyoner, uległ omamowi mistycznych teoryj Towiańskiego, skoro bez porównania jaśniejszy i trzeźwiejszy umysł Mickiewicza poddał się urokowi mesyanistycznej doktryny przerzuconego z Litwy na bruk paryski marzyciela? I nie tylko Towiański zawładnął naówczas umysłowością Juliusza. Jeszcze inny wielki mistyczny duch zaciążył nad duchem naszego poety. Był to Kalderon, wielki dramaturg hiszpański, którego „Księcia Niezłomnego“ Słowacki po mistrzowsku przyswoił literaturze naszej. W okresie obłędu towianistycznego, Kalderon, najmistyczniejszy z dramaturgów, był Słowackiemu szczególnie bliski i pokrewny. To też uwydatniają się jego wpływy w ówczesnej twórczości Juliusza, a więc także w naszym dramacie, w jego formie, w jego krótkim ośmiogłoskowym wierszu, w jego długich oracyach i licznych dygresyach.

A jednak mimo wszystko, co dziełom Słowackiego w owej epoce postałym słusznie i sprawiedliwie zarzucić można, nie można być nieczułym na nieprzebrane skarby poezyi, jakie zawierają. Jakim bądź był owoczesny Słowacki, przecież geniuszem był, piętno geniuszu też wycisnął na swem wadliwie zbudowanem dziele. Zatem wielkie błyski królewskiego ducha, zatem — obok nagany godnych zawiłości — przedziwne świetności języka i wiersza, zatem wspaniałe — miejscami przejaskrawione — rzuty niezrównanej i lotnej wyobraźni i w tem dziele chaotycznem raz w raz się przejawiają i olśniewającemi blaski przypominają czytelnikowi i widzowi, że jakkolwiek zbłąkanego naówczas, to jednak wielkiego talentu nieśmiertelny to płód. Zasłużyła się przeto dyrekcya teatru naszego i około Słowackiego i około publiczności, że za przykładem Lwowa, Krakowa i Warszawy to dzieło wystawiła.



Rycina 7. **Pierwsze polskie regaty w Poznaniu**
Zwycięzca Kolasiński w biegu juniorów w skulingach na 1000 mtr.

Wystawa zewnętrzna była staranna, według lwowskiego wzoru zreżyserowana. Tytułową rolę objęła pani Bednarzewska i lubo rola Salomei zdaje się nie zupełnie mieścić w zakresie specyalnych uzdolnień znakomitej artystki, to przecież w interpretacyi jej wyszła nader szlachetnie. Żywiołowego Semenkę kreował ze zbyt wielkim nakładem patosu i gestu p. Werowski, zdolny reżyser dramatu. Nieco zbyt blady i monotonny był regimentarz p. Andruszewskiego. Także p. Boroński jako Leon walczył z trudnościami wiersza Słowackiego i z przedstawionej przez siebie postaci nie zdołał uczynić nic uwagi godnego. W twardej kreacyi p. Borowskiego (Sawa) uderzał brak należytej harmonii linii, tudzież dykcya fatalna, oraz niepewność gestu psuła wielce wrażenie. Jaśniejszym momentem wieczoru sobotniego był występ p. Czerniaka w roli Pafnucego. Stosownie do swych środków wywiązał się artysta znakomicie z zadania, absolutnie rzeczy biorąc, także kreacya p. Czerniaka dociągniętą nie była. Natomiast wprost wspaniały był p. Bogusiński, lecz dopiero jako trup. Za życia stanowczo mniej miał powodzenia. Skądinąd znakomity ten artysta do ról tego typu, co Gruszczyński, absolutnie się nie nadaje. Kiedyż to nareszcie zrozumianem będzie tam, gdzie należy? Również do życzenia pozostawiał p. Kęcki jako Wernyhora, szczególniej w masce i charakteryzacyi. Był to sobie bardzo prozaiczny, konwencyonalny dziad; lecz nie takim chciał go mieć Słowacki. Z pań oprócz p. Bednarzewskiej tylko pani Sznagowa miała szersze pole popisu, z czego jednak należycie nie skorzystała. Mała rola Anusi u p. Sławińskiej w odpowiednich była rękach.

Cierpliwy czytelnik z uwag powyższych nie zbyt pochlebne co do sobotniej premiery wyciągnie wnioski. Przykro nam, że go zasmucić jeszcze musimy wzmianką dotyczącą niewystarczającego pamięciowego opanowania ról, co, o ile było niemal że powszechne, to jednak szczególnie przykrem się uwydatniało u jednej z głównych figur dramatu, nie schodzącej prawie z desek. Heroiczne wysiłki suflera ratującego wskutek tego z uznania godnym zapałem sytuacyę, przykrą sprawiały nawet w najodleglejszych zakątkach widowni dystrakcyę.

Życzyć należy i to bardzo usilnie i kategorycznie, żeby w przyszłości więcej na ten ważny szczegół zwracano uwagi. Najprostszy sposób na to: wstrzymać się z wystawieniem (poważnych przynajmniej sztuk) tak długo, aż artyści się ról wyuczą. Inaczej teatr nasz stanie się na prawdę „prowincyonalnym.“

R.

Dusza ludzka, jak ptak: gdy wzbija się na pewną wysokość, nietylko niewolno jej spocząć, ale musi tęgo skrzydłami pracować, by się na niej utrzymać. Inaczej, pierwsza lepsza pokusa przyciągnie ją ku ziemi.

Henryk Sienkiewicz.



Fot. W. Suszczyński, Inowrocław. **Rycina A.** (a 1 do a 9.)

Z dziedziny przyrody.

Oko ludzkie, jeżeli umie odczuwać cuda natury, nie może, patrząc na wspaniałe obrazy wiosny i lata, pominąć narzucający się wszędzie barwami swemi w oczy światek motyli. Mało kto, podziwiając te misterne, bogate w barwy stworzonka, zechce przeszłości ich doszukać się w poczęści szarych, wzgardzonych gąsienicach. Lecz kto specyalnie badaczem natury, lub też chłopcem szkólnym, gdzie w pewnym okresie hodowanie motyli w tradycyę przeszło, nie jest, ten mało albo wcale nie zna owych ciem wieczornych i nocnych, które wielkością przewyższają nasze motyle dzienne. Z wyjątkiem wielu rodzai tak zwanych sów, motyle nocne i wieczorne o wiele są rzadsze od dziennych i temsamem cenniejsze w zbiorach. Rozwój jednego z takich przedstawiają nasze ryciny — t. zw. ligustrowca.

Rycina A. przedstawia gąsienicę (ryc. a 1.) tegoż, którą wprawne oko, stosunkowo często spotkać może na gałązkach krzewów ligustru i bzu od lipca do września. Jest ona koloru młodych liści i stanowiłaby zupełne mimikri, gdyby nie lila i białe paski, jakie ją z boku zdobią. Po dostatecznem wyrośnięciu zagrzebuje się gąsienica w ziemię, gdzie się oplącze wpierw pajęczyną z siebie wysnutą, (rycina a 2), a później zamienia się w poczwarkę (ryc. a. 3). Poczwarka w przeciągu 2 tygodni twardnieje i nabiera brunatnego koloru. W tym stanie musi przetrwać do roku przyszłego, gdzie motyl sam skorupkę przełupie (ryc. 4—5 a.) i z natężeniem sił się wydobędzie. Ryciny załączone (a 6—18) przedstawiają kilka charakterystycznych, uwagi godnych momentów szczególnego tego rozwoju. Po wyjściu z poczwarki motyl rozwinie się w przeciągu godziny zupełnie. W czasie rozwoju siedzi on spokojnie unosząc tylko raz po razie skrzydełka, przez co powietrze nabiega w pory między górną i dolną skórkę tychże i daje im potrzebną elastyczność. Po kompletnym rozwoju odpoczywa motyl czas jakiś, zanim korzystając z swej wolności zginie w przestworach.

Rycina B. *Rozwój Nieparki (liparis Dispar).*

Następna serya przedstawia rozwój jednego z największych niszczycieli naszych drzew i sadów owej, dobrze naszym gospodarzom znanej *nieparki* (liparis Dispar). Rozpowszechniona bardzo, ukrywa się ćma ta pod korą drzew owocowych, topoli i wierzb, gdzie ją nietrudno od czerwca do września znaleść.

Gąsienica (ryc. b. 1.) mniejwięcej szaro-brunatnego koloru, z silnym zarostem włosków, ukrywa się w szczelinach wyżej wymienionych drzew. Poczwarka z tejże (ryc. b. 3.) ma również kolor brunatny, jak większa część motyli, lecz różni się tem, że pokrywają ją żółte włoski; nadto ukrywa się spowita w własną przędzę (ryc. b. 2.). Rozwój nieparki od przekłucia poczwarki (ryc. b. 4, 5, 6,) do zupełnego wyrośnięcia (ryc. b. 7—16), postępuje podobnie jak poprzedniego ligustrowca, z tym wyjątkiem, że tutaj jajka a tam poczwarka zimuje. Nieparka składając jajka, otula je hubką własnych, wydartych włosków, ażeby chronić je od mrozów.

Włodzimierz Suszczyński.
Inowrocław.

Dr. Tadeusz Łabendziński.

Wykłady popularne.

B. XIV.

Co i jak wytwarzają w hutach metalurgicznych?

Jak już nazwa powyższa świadczy, są huty metalurgiczne zakładami, w których wytwarzają metal, jak żelazo, miedź, ołów, cynk, rtęć, cynę, srebro, złoto i wiele wiele innych ciał, mających właściwość połysku i wielkiego ciężaru gatunkowego. Materyał, z którego metal zyskujemy, tworzy zwykle rudę, stanowiącą w chemicznem znaczeniu połączenie metalu z jakiemkolwiek innym pierwiastkiem, nie metalem, np. tlenem, siarką, kwasem węglowym, krzemowym itd. Rudy metaliczne znajdują się w ziemi, zwykle głęboko pod powierzchnią, w geologicznie przeważnie starych pokładach. Dawniej, gdy nauka o ziemi (geologia) nie była jeszcze rozwiniętą, natrafiano na cenne te pokłady li tylko przypadkowo, dziś jednak wiercą dla dokopania się do pokładów kruszcowych tylko w miejscach, o których już z góry (na mocy badań geologicznych, polegających na oznaczeniu t. zw. horyzontu tj.



Fot. W. Suszczyński, Inowrocław. **Rycina A.** (a 10 do a 18.)

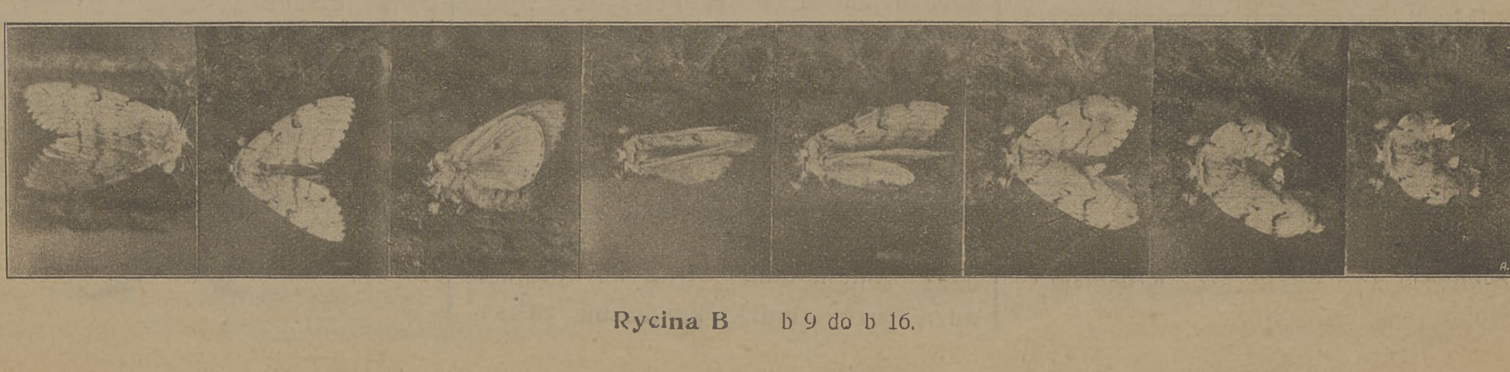


Rycina B. (b 1 do b 8.)

wieku pokładów wedle zawartych w nich skamieniałości) przypuszczać można, że w nich rudy w należytej obfitości znajdować się mogą. Miejsc takich, w których z korzyścią metalowe rudy wydobywują, jest ogromna ilość na ziemi, a jednym rudom towarzyszą zwykle drugie i trzecie, tak, że potworzyły się z biegiem czasu prawdziwe centra hutnicze, o wielkiem znaczeniu dla dobrobytu kraju, z których największe istnieją w zachodniej Anglii, północnej Francyi i Belgii, Nadrenii, Górnym Śląsku i Zagłębiu Dąbrowskiem (Królestwo Polskie), Zagłębiu Donieckiem i Uralu, północnej Szwecyi, wschodniej Syberyi, Japonii, południowej Australii i Afryce, wyspach indyjskich, Kordylierach i górach Skalistych Ameryki, Pensylwanii i Kanadzie. Wprawdzie już w wiekach starożytnych wydobywano rudę i zyskiwano z niej metal (miedź i cynę w epoce bronzowej), lecz robiono to nieumiejętnie, bez należytej znajomości rzeczy, często wprost na oślep. Przeważnej liczby metali, dziś nam tak niezbędnych, jak żelazo, nikiel, glin (aluminium), ołów, cynk itd., nie znano wtenczas wcale, gdyż nie znając połączeń chemicznych, nie umiano z rud zyskiwać metalu. Dopiero rozwój hutnictwa w ostatnich wiekach w połączeniu z rozwojem nauki chemii wykazały nam związki metali, o których czasy starożytne pojęcia nie miały i co więcej, nauczyły ludzkość w taki sposób rudy przerabiać, aby w najkorzystniejszy sposób wydzielać z nich cenne ciało czystego metalu. Rudy kruszcowe wydobywują w na wielką skalę urządzonych kopalniach, ciągnących się nieraz na kilkaset metrów pod ziemią, zatrudniających setki i tysiące ludzi, a przeróbki na metal dokonywuje się albo w miejscu lub opodal, albo też przewozi się kolejami nawet daleko w korzystniejsze miejsce dalszej pracy. Chemiczny bowiem proces, jaki przeważna część rud przejść musi, dla przeobrażenia się w metal, polega na długotrwałem przetapianiu ich w piecach (często w temperaturach o przeszło 2000 a nawet dziś do 4000 stopni ciepła) z różnemi domieszkami odpowiednich ciał chemicznych. Zwykle polega proces ten na tem, że t. zw. blendy czyli błyszcze tj. połączenia siarkowe przeprowadza się przez stapianie ich z węglem przy dostępie powietrza (tlenu) na tlenki, które przez dalsze stapianie z węglem bez dostępu powietrza odtleniają się całkowicie tj. przemieniają się w czysty metal. Ponieważ węgiel najniezbędniejszym jest materyałem dla wszystkich procesów hutniczych, więc też hutnictwo tam tylko rozwinąć się może, gdzie węgla znajduje się zupełnie pod dostatkiem. Gdzie węgla nie ma pod ręką, tam przeróbka rud na metal wtenczas tylko się opłaca, skoro dowózka jego nie jest z powodu odległości zbyt utrudnioną. Podczas więc gdy węgiel podstawowym jest materyałem całego hutnictwa, stanowi znów największą jego gałąź metalurgia tego metalu, który dla życia naszego jest najniezbędniejszym, żelazo. Żelazo wydobywuje się z ziemi zawsze jako rudę, w rodzimym bowiem stanie znaleziono je tylko w t. zw. meteorytach, znanych małych ciężkich kamieniach, spadających na ziemię w przestworza. Zwykłą rudą żelazną jest t. zw. piryt, czyli siarczek żelaza, z którego przy prażeniu w piecach w obecności powietrza tworzy się dwutlenek siarki, niezbędny dla fabrykacyi kwasu siarkowego, a pozostaje tlenek żelaza (rdza), który przez dalsze stapianie z węglem bez dostępu powietrza zamienia się w żelazo z mniejszą lub większą zawartością węgla. Żelazo o więcej niż 3 procent węgla zowie się żelazem zdatnem do lania, poniżej 1 procent węgla kowalnem, a między 1 a 3 procent węgla zawiera żelazo, noszące nazwę stal, ciało o dziwnej odporności i elastyczności. Zawartość fosforu w żelazie, choć mała, nadaje mu nadzwyczaj ujemne własności, gdyż spowodowuje łatwe pękanie. Dawniej, gdy nie umiano fosforu z żelaza wyciągnąć, rudę taką



Rycina 8. **Pierwsze polskie regaty w Poznaniu.**
Sędziowie z arbitrem p. Czaykowskim (×) na czele śledzą przebieg wyścigów.



Rycina B b 9 do b 16.

uznawano za bezwartościową, dziś jednak jest ona tem więcej cenną, gdyż w t. zw. gruszkach Bessemera znaleziono sposób nietylko uwolnić żelazo od zawartości jego fosforu, lecz nauczono się wyzyskać tworzący się tu superfosfat jako nadzwyczaj cenny nawóz sztuczny. Podobne procesy hutnicze, jak żelazo, przechodzi i miedź, cynk i ołów, przyczem ostatnie czyszczenie czyli t. zw. rafinowanie miedzi odbywa się na drodze elektrolitycznej tj. za pomocą prądu elektrycznego. Przy stapianiu cyny i rtęci (żywego srebra) nie można zbytnio temperatury podnosić, gdyż kruszce te ulatniają się tj. przechodzą w stan lotny już przy względnie niskiej ciepłocie (ok. 400 stopni Celsiusza). Im więcej metal jest szlachetny t. zn. na powietrzu się nie zmieniający, tem łatwiej udaje się go przeprowadzić z kruszcu w stan rodzimy. Już przy rtęci okazuje się ta właściwość najcenniejszych metali, gdyż wystarcza siarczki rtęci należycie rozgrzać, bez przydatku węgla lub innego ciała, aby je uwolnić od siarki i przeprowadzić w stan metaliczny. Łatwiej jeszcze udaje się ten proces odsiarczkowania albo odtlenienia przy rudach złota i srebra, przy której to gałęzi metalurgii największą rolę odgrywają procesy elektrochemiczne. Za pomocą też li tylko prądu elektrycznego fabrykuje się najlżejsze nasze metale: glin (aluminium) i magn, których rudy (zwykle krzemiany lub węglany) przy stapianiu przez prąd rozkładają się na metal i połączenia z tlenem. Przy tych procesach elektrochemicznych, jednej z najciekawszych zdobyczy 19-go wieku, miejsce węgla jako materyału cieplnego zastępuje siła elektryczności, zyskiwana zwykle w turbinach wodnych, pędzonych przez wielkie masy wodne spadów rzecznych jak przy wodospadzie Renu pod Szafhuzą, w Szwecyi lub na Niagarze w północnej Ameryce. Wodospadów naszych polskich, w Galicyi, pod tym względem jeszcze nie wyzyskują wcale. Proces odtleniający przychodzi przy pracach elektrochemicznych wprost, bez dodatku węgla, do skutku, gdyż metal zostaje wprost przez prąd u ujemnego bieguna oddzielony w stanie czystym i to o wiele czystszym chemicznie, jak przy zwykłych operacyach metalurgicznych w hutach.

Śpiącym trupio — bądź przebudzeń gromem!
Z. Krasiński.

* * *

Kazimierz Brodziński.

Zarozumiałość.

Zarozumiały jest tym samym pod względem umysłowym, co zapamiętały pod względem moralnym; oba działają na oślep. Ale zapamiętały ochłonie i upamiętać się może, zarozumiały wiecznie duszony jest dymem miłości własnej, i zdaje mu się, że to jest obłok, z którego, jak Jowisz, gromy i wyroki wyrzucać może. Nieznośna to wada w społeczeństwie, a najszkodliwsza temu, kto nią jest zarażony.

Smutno jest razem i pociesznie słyszeć w gronie ludzi mających doświadczenie i zasługi, zarozumialca stanowiącego o wszystkiem; tem więcej zuchwałego, im mniej zdolny jest domyślać się milczącego politowania. Wyrokuje o pracach i charakterze ludzkim tem śmielej, że sam nic jeszcze nie pracował i charakteru swojego na żadne stanowcze doświadczenie nie miał sposobności wystawić. Gdy niegdyś wiek i zasługi minione dostateczne były do poszanowania, a przynajmniej jednały względność młodych, teraz same przez się wystarczą do lekceważenia u zarozumiałych. Jeżeli im się uda wadę lub omyłkę jakową w kim postrzedz, a tylko na to polują, wtenczas sądzą, iż są we wszystkiem nad niego wyższymi; i dla skazy, choćby tylko uwidzianej, ze wszystkiem go potępią. Najjaśniejsze dowody oślizgną się o nich jak o głazy: bo są tylko zajęci, nigdy w cudzy charakter, sposób myślenia i w położenie nie wchodzili, i na nikogo nie zważając, obrażonymi się sądzą, gdy kto mało ich pretensye uważa.

Różne są przyczyny i stopnie zarozumiałości. Człowiek oddany wyłącznie jednej jakowej nauce, łatwo ulegnie tej wadzie: bo w samej rzeczy, daleko postąpić w niej może, i naturalnie widzi w niej bardzo wielu niższymi od siebie, chociaż nie ogląda się na ich zalety, których dostrzegać i cenić nie umie. Ta zarozumiałość najłatwiejszą jest do wybaczenia: bo kto swojego zawodu najwyżej nie ceni, ten w nim nie postąpi daleko. Dodać atoli wypada, iż to dobre rozumienie mieć można o swojej nauce, lecz nie o sobie samym. Jednakże zwykle zarozumiałość i pedantyzm czepią się tych, którzy oddają się przedmiotom szczegółowym i mało ważnym dla ludzkości; nic tak nie uczy być skromnym, jak głębokie badanie nauk wszelkiego rodzaju; bo im kto dalej w nich dojdzie, tem pewniej trafi na granice, gdzie rozum ludzki koniecznie zatrzymać i ukorzyć się musi. Salomon i Sokrates, dwaj najwięksi mędrcy starożytności, jawnie to wyznanie uczynili, a Chrystus Pan uważa skromność za obowiązek i szczęście chrześcianina. Z nią można daleko w naukach postąpić; ale zarozumiałość jakby zlodowaciała, zawsze na jednem miejscu zostaje.

Zarozumiałość pospolitą jest także w ludziach w odosobnieniu żyjących, którzy powziąwszy lub utworzywszy sobie zdanie jakowe, nie mieli sposobności porównać go z innemi, a przeto, z swojem tylko rozumieniem obcując, tak nawykli do niego, iż w niem żadnej mylności nie widzą, i wszelkiem mniemaniem przeciwnem pogardzają. Bliższe obeznanie się w towarzystwie, wyleczy ich z tej wady, którą zresztą każdy rozsądny wybaczy.

Dalej ulegają tej wadzie ludzie, którym szczęśliwa skąd inąd fortuna, nigdy nie dozwoliła szczerej prawdy usłyszeć, w których owszem zarozumiałość ciągle pochlebstwo rozwinęło. Lepiej jest dla człowieka być w zaletach swoich niepoznanym, aniżeli nad zasługi chwalonym: bo w pierwszym razie ma bodziec do dalszego jeszcze postępu, a w drugim tylko tamę, którą już za cel osiągnięty uważa.

Najwięcej i najnaturalniej skłonny jest człowiek do niej w młodości: bo wszystkie pojęcia są mu nowe, a zatem, silnie na niego działając, zdają mu się być jedyne, nieomylne, za któremi przeto z wszelką żywością obstaje. Na to jedynem lekarstwem jest czas i roztropne a wczesne prostowanie przez doświadczonych; bo ta wada łatwo się zakorzenia, a nic przykrzejszego, jak gdy od niej własne zawstydzające szkody i obcy ludzie odzwyczajać nas będą. Ale u młodych niezepsutych bywa to raczej żywe czucie przyrodzoną otwartością, niż zarozumieniem, która przy względnych osobach, łatwo na korzyść wyjść może. Przeciwnie najnieznośniejszym i politowania godnym jest młody zarozumiały pedant, który wychodząc z pięknej sfery swojego wieku, zimnym i poważnym tonem wszystkowiedza i wszystkouma udaje. On właściwie mniej jest zarozumiały, niżeli chce tę nieszczęśliwą rolę udawać. On dobrze rachuje się z sobą, aby się w oczach ludzi nie okazał mniejszym, niż jest przed sobą samym; dlatego najwięcej z góry daje wyroki. Pierwszego naprowadzać potrzeba; dla drugiego niema sposobu, również z góry go karcić nie wypada.



Król Stefan Batory w obozie pod Połockiem.

Pamiątka po Batorym na Litwie.

W wileńskim „Gońcu Codziennym“ p. Z. K. przypomina, że do dziś dnia zachowała się w powiecie wilejskim pamięć przejścia króla Stefana Batorego, ciągnącego na odsiecz Połocka: kilka miejscowości nosi nazwę, pochodzącą z owych czasów.

I tak, na gościńcu, wiodącym z Radoszkowic do Chocieńczyc i Łukawca, między Baksztami a Zaborzem, leży Konotopa z rzeczułką tejże nazwy, wpadającą do Udrzanki. Były tam w owej epoce bagniste moczary, w których grzęzły i topiły się konie pułków jazdy. Trudne to niezmiernie przejście dla szeregów królewskich miało wyrwać z ust Batorego, gdy się znalazł na suchym brzegu, słowa:

— Istne koniotopie!

Od tej pory nazwa ta przyrosła do tej miejscowości i choć w gwarze ludowej pewnej uległa zmianie, zachowa się chyba na zawsze, budząc w tych, co te legendy znają i cenią, pamięć owych husarzy, którzy się tędy z takim przeprawiali trudem. Dziś, w miejscu moczarów rozlewa swe wody duży staw, a na Koniotopie huczą koła młyńskie. Szlak komunikacyjny pozostał ten sam, ale dziś przez to miejsce i artylerya przesunąćby się zdołała.

Z Koniotopy król Stefan szedł przez Łukawiec, po za którym zatrzymał się w drobnej osadzie, do dziś dnia Batorynem zwanej. Podanie niesie, iż gdy chorągwie polskie przeciągały około miejscowego kościółka, wyszedł kapłan z krzyżem błogosławiąc je z krużganku. Do dziś dnia osada ta odznacza się nader do wiary swej przywiązanym ludem, który, acz kościółek swój utracił, pozostał mu wierny w najcięższych latach.

Z Batoryna król Stefan posunął się dalej. A że wojska królewskie składały się z rozmaitych kompanij, jak piechoty węgierskiej pod dowództwem Bekesza i innych, a sunąc naprzód rozrzucały się szeroko, zdarzyło się, iż jakiś oddział niesforny zniszczył po drodze posiadłość pewnego szlachcica. Ten dowiedziawszy się, iż po za swawolnym oddziałem król ciągnie na czele regularnego wojska, wybiegł na jego spotkanie, a zatrzymując za udo konia Batorego, zawołał: „Stań królu!“ — i jął mu z uniesieniem żale swe na żołnierstwo przekładać i biadać nad zniszczoną swoją majętnością. Batory skarg tych wysłuchał cierpliwie, aż wreszcie wyciągając rękę w przestrzeń i ukazując na poblizkie dobra stołowe, zakrzyknął: „Bierz to w nagrodę i — milcz!“

Król Stefan z wojskiem pociągnął dalej ku Połockowi, ale na miejscu, gdzie go poszkodowany szlachcic zatrzymał, powstała zaraz karczma w rodzaju oberży: „Stań król“ — nazwana. I dotąd miejsce to „Stań królem“ się zowie, acz ostatnia na niem karczma była już przed paru laty w zupełnej ruinie. Szlachcic zaś ów dalej szkód swych nie poszukiwał, a osiadłszy w nadanych sobie dobrach, dał im miano od ostatniego słowa królewskiego: Milcz.

Majątek Milcz, acz od owej pory wielu zmienił właścicieli, egzystuje tu do dziś dnia i zewsze się odznacza dobrą, urodzajną glebą.

Na co się przyda zaszłe kurzem trząść kroniki,
I sławne z głuchych mogił wskrzeszać nieboszczyki,
Jeśli choć się kto chełpi płodem bożków ziemnych,
Hańbi ich ród podłością swoich spraw nikczemnych.
Adam Naruszewicz.

* * *

Są, którzy wolą być niegodnie sławni, niż sławy godni.
Stanisław Lubomirski.

Niegdyś a teraz.

Obrazek z życia staropolskiego.

Przed kilkuset laty było u nas w Polsce zwyczajem, iż śluby małżeńskie tylko w dojrzałym wieku zawierano. Kawaler pilnował obozu do lat 35, panna zaś kądzieli do lat 28. Upatrzywszy młodzian pannę, którą poślubić umyślił, oznajmił to ojcu swojemu, a ten przyzwał mównego dziewosłębia (starostę) i prosił go o pomoc.

Dziewosłęb ów, siadłszy na konia, pojechał do wskazanego sobie dworu. Na podwórzu już, zsiadłszy z konia, za uzdę go przytrzymał, do okna zbliżył się, zapukał wołając:

— Pan Paweł z Wierzbowa mile waszmość pozdrawia i radby wiedział, czy waszmość na to pozwoli, o co się on przezemnie pytać będzie?

Na to pan Piotr z Rzegowa odpowiedział:

— Słucham panie sąsiedzie.

— Oto pan Paweł ma parobka, już mu się do 40 lat zbiera, a słyszał, że waszmość masz dziewkę już także dorosłą, a zatem jeślibyć waszmość pozwolił, toby się pobrali.

— Wstąpcie ino do nas — odpowiedział gospodarz — to o tem pomówimy.

Dziewosłęb uwiązał konia u kółka przy oknie, przygładził czuprynę czapką, podkręcił wąsa i poszedł do izby, gdzie zastał już stół nakryty, a na nim sól i chleb na talerzu.

Pierwsze powitanie było:

— Panie sąsiedzie zjedzcie chleb z solą, byle z dobrą wolą.

Wtem zawołał na żonę:

— Moja pójdźcie jeno do nas!

Gdy przyszła, rzecz jej opowiedział w krótkości, na co ona się odezwała:

— Jak się wam panie widzi.

Zawołano teraz córkę, do której tak się odezwał ojciec:

— Moja dziewko, jużeście się dosyć u nas kądzieli naprzędli, czasby też wyjść na swój chleb; a to Panu Bogu dziękuj, że sąsiad nasz, pan Paweł ofiaruje ci swego parobka. Jakże zezwalasz na to?

Córka upadła do nóg rodzicom na znak zezwolenia. Dziewosłęb nasypawszy teraz pereł i klejnotów w czapkę, wysypał je w fartuszek pannie młodej, mówiąc:

— Pan Paweł od swego parobka na ten dar prosi, przyjm waćpanna wdzięcznie, aż się o więcej postara.

Ojciec wtem odpowiedział dziewosłębowi:

— Powiedzcie panu Pawłowi, że za trzy niedziele będzie wesele. Niech pan młody sprowadzi ze sobą skrzypków, ja też każę cielątko, kurkę jedną i drugą zabić, nasycić miodu i tak wespół cieszyć się będziemy.

Teraz zmieniły się te obyczaje, zmieniły się nawet co do szczegółowych drobnostek. Tak np. znalazł potomek owego pana Pawła z Wierzbowa w papierach familijnych następującą notatkę: Jego prapradziad w r. 1687 miał do ślubu żupan biały lity, bekeszę aksamitną zieloną, obłożoną łapami rysiemi, guzy rubinowe i kołpak soboli. Pradziad w r. 1714 żupan morowy seledynowy, ferezyę papuzią, pas z klamrą srebrną, czapkę adamaszkową z wypustką sobolową. Dziad w r. 1760 miał żupan atłasowy ponsowy, kontusz sajetowy koloru perłowego, pas turecki, buty żółte, czapkę białą z barankiem. Ojciec w r. 1788 miał czamarę granatową z potrzebami srebrnemi, pas słucki, mankiety u rękawów koszuli, czapkę gredytorową z denkiem jedwabnem. Syn w r. 1808 nosił frak szafirowy, spodnie, kamizelkę i pończochy białe, kapelusz spłaszczony.

Wesele pradziada trwało tydzień, wyszło nań wina beczek 10; pradziada 5 dni, beczek wina 7; dziada trzy dni, wina beczka 1; ojca 24 godzin, wina 100 butelek; syna zaś wesele trwało wieczór tylko, wypito parę butelek szampańskiego wina przy cukrowej kolacyi.

Franciszek Morawski.

PATRIA.

Kochasz swą macierz w jej dziejach i chwale,
Jej krasną szatę, góry, rzeki, fale
I stare godła i stare sztandary
I młode serca i lud pełen wiary.
Kochasz ją w dziełach jej najlepszych dzieci,
Dłoń pracującą i rozum, co świeci.
Kochasz jak matkę, boś synem twej ziemi,
Boś o niej marzył snami dziecięcemi,
Boś Ty jej cząstką, i Ty jej ogniwem,
Cały współżyjesz jej jestestwem żywem.
Bo bez niej jesteś jak kwiat bez korzeni,
Jak liść, co wiatrem gnany po przestrzeni!
Ale ją kochaj, kochaj wielką miarą,
Choć Twej miłości staniesz się ofiarą,
Chociaż niewdzięczne za nią zyskasz słowa
I nikt Ci z Twoich wiary nie dochowa,
Chociaż obłudą wszędy Ci odpłacą,
A Ty wciąż dalej służ myślą i pracą
Dopóki duszy i serca Ci stanie;
Wtedy prawdziwem będzie Twe kochanie!

Dział kobiecy.

Obraźliwość.

Zbyteczna wrażliwość duszy kobiecej wywołuje nieraz w niej uczucie, którego ani cnotą, ani przymiotem nazwać nie można. Zatruwa ono życie nietylko tej, która je posiada, ale męczy całe jej otoczenie i wiedzie nieraz do nieporozumień, zakłócających spokój domowy i niszczących wszelkie stosunki towarzyskie.

„Obrażanie się“ znają głównie młode dziewczęta i kobiety. Już mała dziewczynka zaczyna się obrażać — usuwa się od wspólnej zabawy, wykrzywia usta, dąsa się i jest obrażoną! Jedna z towarzyszek wyrzekła jakieś niebaczne słówko i obrażona panienka daje to uczuć nietylko tej, która ją obraziła, ale i wszystkim innym. Stoi z odwróconą twarzą, udaje, że nie słyszy, co kto do niej mówi i psuje całą zabawę.

Dorastająca dziewczyna rozwija naturalnie swoją obraźliwość o wiele więcej i psuje z upodobaniem zgodę i jedność pomiędzy rodzeństwem. Umie ona doskonale wzbudzać gniew rodziców na siebie i trzymać w szachu swoje przyjaciółki.

„Marylka obraziła się! Marylka znowu obrażona! Marylka obraża się o byle co!“

Tak jest, Marylka szuka ciągle sposobności obrażania się! Gdy jej kto czyni wymówki lub gani ją, wtedy zapewnia, że „nic za to nie może“, „że już raz jest taką“, i trzeba się cieszyć, jeżeli przyrzeknie, że tak zaraz nie okaże swej obraźliwości. Ale Marylka nie użyje nigdy swobody młodości, bo ciągle ją coś gniewa, obraża i psuje całą radość, całą zabawę. Jeszcze nie ochłonęła z jednego obrażenia się, a już drugie czeka na nią! I nikt nie wie, kiedy Marylka jest w dobrym a kiedy w złym humorze, kto ją czem znowu o-

braził. To jej naturalnie sympatyi ludzi nie zyskuje.

Jeszcze gorszą jednak jest obraźliwość taka w małżeństwie. Żaden mąż nie ma tak świętej cierpliwości, aby odczuwał wszystkie niezliczone zmiany humoru swej żony i troskliwie jej pytał, dla czego teraz ma twarz zachmurzoną a za chwilę uśmiechniętą. Raz i drugi zapyta może, ale gdy się to zbyt często powtarza, wtedy nudzi go to tylko i gniewa. A żona siedzi z miną obrażonej królowej i boleje nad sobą i nad całym światem. Najniewinniejszy żart męża obraża ją śmiertelnie, i zamiast się rozśmiać, męczy siebie i jego nieustannemi grymasami. Powinna przecież mieć do męża tyle zaufania, że umyślnie obrażać jej nie chce!

Kobiety obraźliwe cierpią same najwięcej. Zdaje im się, że każdy z nich szydzi, że każdy się z nich śmieje i że każdy chce je obrażać. Tym sposobem stają się podejrzliwemi, zgryźliwemi i rzecz kończy się tem, że nikt na nie uwagi nie zwraca. Znajomi unikają ich, bo każdy woli osobę swobodną i wesołą niż grymaśną i obraźliwą.

Jeżeli komu się zdaje, że ktoś go rzeczywiście obraził, to najlepiej starać się zaraz o wyjaśnienie sprawy, polegającej często na nieporozumieniu. Większa część takich „obraz“ kończy się zgodą i nie zostaje po nich ani goryczy ani żal. Czasem wykaże się też, że sami byliśmy powodem nieporozumienia i że wywołaliśmy to, co nam się potem obrazą wydawało. A gdyby się rozmówić szczegółowo i sumiennie z temi paniami, które się o byle co obrażają, to przekonalibyśmy się wnet, że właśnie one same wyrażają się o innych bardzo bezwzględnie i obrażająco. Tym bowiem, które znają takt towarzyski i które są wyrozumiałe dla innych — na myśl nawet nie przyjdzie, aby je ktoś umyślnie chciał obrażać.

* * *

Międzynarodowy kongres wychowania domowego.

W ostatnim czasie odbył się w Brukseli III. międzynarodowy kongres wychowania domowego. Kongres zgromadził delegatów różnych krajów i liczną publiczność różnojęzyczną.

Po otwarciu kongresu przez belgijskiego ministra sprawiedliwości, p. Lantsheera, zabrali kolejno głos przedstawiciele państw zagranicznych: delegat Francyi, Niemiec, Austryi, Stanów Zjednoczonych i innych, poczem publiczność rozdzieliła się i rozpoczęto pracę w poszczególnych sekcyach.

Kongres podzielony był na 8 sekcyj: 1) badanie dzieci, 2) wychowanie domowe, 3) wychowanie domowe w wieku przedszkolnym, 4) wychowanie w wieku szkolnym, 5) wychowanie w wieku pozaszkolnym, 6) wychowanie dzieci anormalnych i in. W poszczególnych sekcyach wygłoszono szereg referatów. W sekcyi „Badania dzieci“ pomiędzy innymi dr. J. Soteyhówna, prof. uniwersytetu brukselskiego, odczytała referat swój „O narzędziach do badania dzieci“ i postawiła wniosek ujednostajnienia badań. W sekcyi tej rozpatrywano również kwestyę samobójstw wśród dzieci. Kwestya ta wywołała ożywioną dyskusyę, większość mówców zalecała kształcenie woli, oraz wychowanie dzieci w zasadach religijnych, jako najlepszy środek zaradczy.

Mniej zajmujące były obrady w drugiej sekcyi, gdzie omawiano ogólne kwestye, związane z wychowaniem domowem, jak o potrzebie rozpowszechnienia wśród rodziców wiadomości pedagogicznych, o organizowaniu kół rodzicielskich, o wpływie rodziny na wychowanie moralne i t. p.

Analogiczne sprawy roztrząsano na 3 sekcyi. Przedmiotem najwyższego zainteresowania się kongresu były obrady 4 sekcyi, dotyczące wychowania w wieku szkolnym. Obrady tej sekcyi właśnie były głównym terenem walki.

Na zakończenie sprawozdania wspomnimy jeszcze o sekcyi 6, zajmującej się dziećmi anormalnemi. Przewodniczący jej, dr. Deczoły (Bruksela) wyraził życzenie, aby władze publiczne zajęły się zabezpieczeniem dzieci anormalnych w wieku przedszkolnym, co dałoby możność uniknienia zboczeń w następstwie nieuleczalnych. W sekcyi 7, p. Carton de Wiars przedstawiła bardzo ciekawy referat, dotyczący trybunałów specyalnych dla dzieci, o charakterze raczej ojcowskim, niż sędziowskim. W tejże sekcyi p. Miłkowska (Warszawa) przedstawiła zgromadzeniu najnowszy elementarz polski, którego autorem jest p. Falski (Warszawa). Elementarz ten, przepięknie wydany niedawno w Krakowie, ilustrowany artystycznie przez malarza Rembowskiego i zasługujący pod każdym względem na szerokie uwzględnienie zarówno treści, jak formy i strony metodologicznej, dla ogólnego braku czasu nie mógł być na kongresie należycie rozwinięty i wyjaśniony.

Dr. J. Śmiarowska.

Z hygieny tualetowej.

Delikatna płeć była od najdawniejszych czasów przedmiotem zabiegów i starań ze strony kobiet, zwłaszcza t. z. „światowych kobiet,“ które zawsze poświęcały na ten cel dużo czasu, no i pieniędzy. W obecnej chwili mamy odrębną zupełnie gałęź przemysłu — kosmetyki tualetowej z niezliczoną ilością mydeł, pudrów, octów, goldkremów, szminek, ołówków, pomad i wonnych olejków; wytwórcy których zarabiają ogromne sumy pieniędzy, korzystając z naiwności i próżności niewieściej...

Któraż to z nas nie chciałaby być piękniejszą i młodszą! Któraż jest z siebie zadowoloną?...

Przeważna część jednak tych kosmetyków nie poprawia w rzeczywistości cery, lecz pokrywając ją warst-



Kościół katedralny w Chełmży.

Chełmża, miasto w Prusach Zachodnich, w obwodzie regencyjnym kwidzyńskim, w powiecie toruńskim, położone nad jeziorem i nad linią kolei toruńsko-grudziądzkiej, posiada piękny kościół katedralny, zbudowany w 1251 r., a odnowiony w 1422 r. W Chełmży jest sąd okręgowy, wielka cukrownia, fabryka masła i sera i t. d. Miasto to, liczące przeszło 5000 mieszkańców, przeważnie katolików, było do 1823 r. siedzibą kapituły chełmińskiej, przedtem także rezydencyą biskupów chełmińskich.

wą jakiegoś kosmetyku, daje złudzenie lepszej, sztuką wywołanej. Często zaś używający tych środków, psują sobie jeszcze bardziej cerę i już bez powłok sztucznych obywać się nadal nie mogą...

Ładna i świeża cera jest skarbem naturalnym i wyrazem ogólnego zdrowia, hygienicznego pielęgnowania ciała i obchodzenia się właśnie bez sztuki.

Murzynki np. słyną z aksamitnej w dotknięciu skóry, a zawdzięczają ją prawdopodobnie tylko słońcu i powietrzu, gdyż przeważnie nagie chodzą. Kto stosował słoneczno-powietrzne kąpiele ten nie mógł nie spostrzedz, jak sucha, łatwo pękająca skóra nabiera miękkości, gładkości i elastyczności.

Jedną z ujemnych właściwości naszej skóry, zwłaszcza na twarzy, jest zbytne wydzielanie się tłuszczu, z łojowatych gruczołków, położonych w głębszej warstwie skóry. „Cera świecąca“ jest wielkiem utrapieniem wielu panien i pań, najczęściej leczących się na to bez skutku. Poznajmy przyczyny tego: często nieodpowiednie odżywianie, za duża ilość mięsa, tłuszczów i korzennych pikantnych przypraw; napoje wywołujące przypływ krwi — jak: alkoholiczne, kawa, kakao, herbata. Jednocześnie współdziałać może i zbytnia umysłowa praca, nerwowe wstrząśnienia i przemęczenie fizyczne. Zbytnia wydzielina łoju zatyka normalne pory skóry, a zmieszana z pyłem i kurzem drażni nerwy i sprowadza czerwoność i wysypki, bardzo niekiedy uporczywe; wszystko to ma za przyczynę złe odżywianie i nieumiejętne pielęgnowanie ciała, w rzadkich zaś wypadkach cierpienie jakiego wewnętrznego organu. Jak zapobiedz temu?

Należy pobudzić krew do normalnego obiegu, a to możemy osiągnąć przez odpowiednie hydropatyczne zabiegi i słoneczno-powietrzne kąpiele. Należy żołądek i kiszki do zegarkowego mechanizmu doprowadzić, przez odpowiednią dyetę, ruch i masaż. Zimne nacieranie całego ciała, kąpiele rzeczne, morskie latem, zaś w każdej porze roku świetlne, napotne zabiegi znakomicie oddziaływają na stan naszej skóry głównie przez pobudzenie krwi obiegu i przemiany materyi. Jako racyonalne odżywianie zalicza się owoce, jarzyny, sałaty, mleko, mało albo wcale mięsa.

Odciąganie zbytniego przypływu krwi od głowy przez półkąpiele nożne, kąpiele i ruch, często zbawiennie wpływa na cerę. Przy siedzącym trybie życia, koniecznie sport, gimnastyka, praca na świeżem powietrzu.

T. D.

VERA FELICITÀ.

Fantazya.

Przez łąkę okrytą różnobarwnem kwieciem biegnie wdzięczna, smukła dziewczyna i zrywa lilie, bławatki i dzwonki polne; oczy jej śmieją się, a wyraz ich ciekawy, niepokojący; oczy te nie umieją patrzeć długo ani smutno, — przerzucają się z kwiatka na kwiatek, z łąki ku słońcu, — i dalej ku ścieżce polnej, skąd szybko uciekają wracając do kwiatów, jakby zdziwione i przerażone zarazem zobaczeniem czegoś zbyt realnego i szarego w stosunku do siebie i przyjaciół swoich — tych z łąki. Ptaszki, motyle i libelle trzepocząc przezroczystemi skrzydełkami krążą koło włosów dziewczęcia, włosów ni jasnych, ni ciemnych o fantastycznej barwie, fantastycznie rozrzuconych w koło szyi o złotawym blasku, skąpanej w promieniach słońca; od ramion spływa lekkiemi fałdami po wiotkiej drobnej postaci mieniąc się tysiącem kolorów przezroczysta szata zapożyczona w obłokach u tęczy — spływa na zielony dywan — w deseń fiołków i sasanków. Dziewczyna z odrzuconą głową goni motylki i ptaszki, a z ust rozchylonych w uśmiechu płynie nucona półgłosem wesoła piosnka — o szczęściu:

„Młodość i piękność mam, kwiaty roznoszę“... i biegnie z łąki w świat ku ludziom rozrzucając im kwiaty pełne woni i barw przecudnych — i śpiewa im piosnkę — o szczęściu. Lecz niedługo bawi się u nich — i piosnka milknie i kwiaty więdną — i dziewczę znika — zostawiając po sobie wspomnienie tylko, żal i tęsknotę. I wraca do swej ukochanej łąki i zrywa coraz to nowe świeże kwiaty i zapożycza uśmiechów od promieni słonecznych i barw u tęczy— w obłokach. I leci znowu do ludzi — i znowu wraca i tak zawsze, codziennie, bo wie tylko o zazdrości, którą dała śpiewem i kwiatem, a gdy płakali po niej — nie słyszy, bo odbiegła już zdala doliny ziemi po nowe barwy i blaski, po nowe piosnki odsłuchane o brzasku u skowronków i nocą u słowików.

I żyła wrażeniem, że jest szczęściem ludzi, ich radością promienną choć nieuchwytną na podobieństwo motyli i libelli z łąki.

Aż ujrzała znowu na onej prostej drożynie wśród złotawych kłosów zbóż polnych na tle mgły szarej tumanów unoszących się ponad stepem, ujrzała postać zadumaną, szarą poważną postać prosto ku niej zmierzającą—na łąkę do niej — bawiącej się wśród irysów konikiem polnym. Spłoszona widokiem tego, którego dotąd widywała tylko zdaleka i rzadko, który był nieznany i obcy dla niej — pragnie go uniknąć i uciec przed nim w dolinę łez, zanieść światu kwiaty zrodzone dopiero co w świetle jutrzenki i nakarmione rosą. Pragnie uciec, bo się boi młodzieńca, bo go nie zna — i nie ciekawa poznać. Woli swoje kwiaty i barwy i słońce i piosnki. A on surowo na nią spogląda i głęboko przeglądając się w oczach jej mówi: „szukam ciebie...“

— Muszę tam na dół do ludzi—odpowiada dziewczę, czekają na mnie — na kwiaty i pieśni moje, jam ich szczęściem i rozweseleniem...

— Nie, — poprawia młodzieniec, nie jesteś szczęściem, twe kwiaty więdną tracąc woń i barwę, a piosnki się kończą, postać twa, spowita w tęczowe blaski zapożyczone w obłokach, złudna i znikoma... Tyś szczęścia złudzeniem tylko, nie szczęściem rzeczywistem...

— Czemu tak do mnie mówisz, patrząc na mnie z wyrzutem, wszak nie zawiniłam tobie, boję się ciebie..

Felicità spuszcza oczy i stoi drżąca, bezradna — szepcząc nieśmiało: czekają na mnie, a gdy nie zdążę zanim słońce zajdzie — smutni będą i opuszczeni.

— Ja od świata przychodzę do ciebie, a ty mnie unikasz, boś sama złudnem zjawiskiem tylko, obawiasz się Prawdy. Ty żyjesz chwilą i więcej niż chwilę szczęścia dać nie możesz jak kwiaty co więdną w twoich rękach! Spojrzyj na nie! ten moment wystarczył, aby umarły, i nie odżyją więcej, bo nawet rosa co spadnie o zachodzie

nie wróci im życia. I ty mniemasz, żeś radością i szczęściem ludzi, bo nie widujesz ich łez i smutku, bo nie wnikasz w ich duszę, a oczy twe niepokojące, ciekawe swym blaskiem nie patrzą głębiej, by rozstrzygnąć zagadkę bytu wszechświata i dać ludzkości więcej niż jedną chwilę wesela — szczęście nieśmiertelne. Krótko brzmią piosnki twoje, a postać twa smukła i wiotka spowita w iluzye tęczowe, których barwa zniknie w ciemny i mglisty, ponury wieczór jesieni.

Dumny młodzieniec kończył powoli:

— Tyś złudzeniem szczęścia i wesela i wszystko co twoje wraz z tobą przemija — zostawiając jedynie za sobą wspomnienie zjawiska uroczego!...

— Lecz ty ktoś taki, co mi tak śmiało to mówisz, ty, którego postać i słowa przeczuwałam od wieków a widywałam rzadko niekiedy i zdaleka — hen ku szczytom śnieżnym od północy w słońcu świetlistem. Tęskniłam za tobą i bałam spotkać zarazem i zajrzeć w twe szczere, spokojne, błękitne oczy surowe, gdy patrzałeś na mnie z litością! Szaty twe proste, lecz nie stracą barwy w ponury jesienny wieczór.

— Nie bój się mnie Felicito, jam Vero-Prawda, i żal mi ciebie i ludzi, bo kocham świat i życie i tych co pokochali ciebie taką, jaką jesteś; gdy inną sama z siebie być nie mogłaś, więc uczynię cię silną mocą moją, skoro zechcesz przejść przez ogień miłości mojej czystej siłą boską natury — a jutro z brzaskiem słońca, gdy powstaniemy, silni mocą Prawdy i szczęścia, zaniesiemy w dolinę łez do ludzi piosnki co nie milkną i kwiaty co nie więdną nigdy — rozkwitłe tej nocy pod błogosławieństwem naszej miłości, zrodzone w szczęściu bez złudzeń oczyszczone w Prawdzie...

Felicitá z trwogą obejrzała się po łące niedowierzając czy przez poznanie i miłość Prawdy zbawi swe kwiaty i ludzi z doliny łez, lecz on stał smukły i piękny w swej powadze przed nią obejmując promiennem, jasnem wejrzeniem jej wiotką, lekką postać, różaną w ostatnich smugach gasnącego słońca.

— Jam słaba i bezsilna, a tyś piękny i nieśmiertelny w prostocie słów twoich i szczerości wejrzenia, lecz jam bezradna i zalękniona być wybraną przez ciebie i podniesioną z nicości posłannictwa mego — od pieśni i kwiatów — do ciebie i nieszczęśliwej ludzkości.

— Dusza twoja zrodzona na gwiazdach w błękitach, stąd lekka powiewność twojej kibici, lecz istota twoja w ciało zaklętą została — pewnego poranku tu na tej łące — z promienia słońca, który przejrzał się w lustrzanej toni kropli rosy i stąd pochodzi wesołość uśmiechów twoich słonecznych, powstałych ze złudzenia — co zanosisz światu, a łzy rzeczywiste co pozostawiasz od tejże rosy kropelki. Słońce jest twoim praojcem, lecz ojcem promień jego przesłany ziemskiej istocie— krystalicznej łezce na pączku lilii polnej, odbicie słońca z błękitów i kropla rosy dały tobie życie — krótka chwila złudzenia jednego poranku.

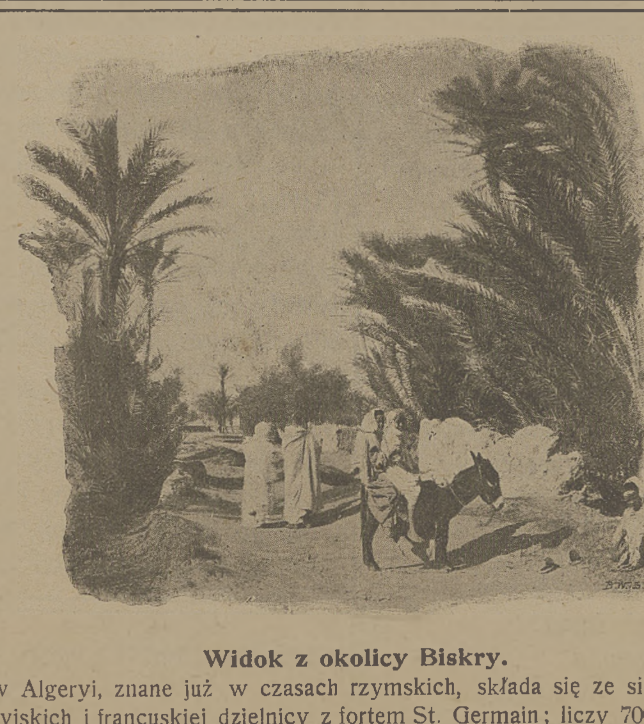
— A ty — skąd do mnie zstąpiłeś i jakie pochodzenie twoje? — pytała zdumiona dziewczyna stojąc z opuszczonemi rękoma i biernie poddając się oddziaływaniu słów dziwnych opowieści Vera.

— Jam syn najmłodszy waszej biednej ziemi, choć istniałem miliardy lat w naturze i Wszechświecie z rodziców Fede i Scienzy t. j. Wiary i Wiedzy zrodzony jako Prawda wiekuista. Istniałem na gwiazdach odwieczny i nieśmiertelny zarazem, lecz nieznany w dolinie łez, dopiero gdy ludzie przejrzeli i zrozumieli, że Wiedza, Wiara i Prawda złączone są w naturze miłością od wieków, poznano i nazwano mnie Prawdą.

— Słyszałam o pogodnej, rozmodlonej pani, szanowanej powszechnie na ziemi, a echo pięknych jej modlitw i wierzeń powtarzałam czasem śpiewem moim wśród ludzi, gdy z cicha płakali... — mówiąc to Felicitá złożyła w zamyśleniu ręce na przezroczystej mgle iluzyi na piersiach, a białość alabastrowa jej ciała stawała się jeszcze bardziej marmurową, gdy oczy wzniosła mimowoli ku pierwszym gwiazdom ukazującym się na niebie. Stawała się dziwnie piękną i zmienioną w tem zasłuchaniu w naturę i słowa Prawdy, a wszystko co czuła i słyszała zdawało jej się najpiękniejszą muzyką z gwiazd.

— Ojciec mój Scienza — Wiedzą nazwany na świecie — znany bywał na świecie jako starzec, osiwiały badacz-filozof lub w postaci młodzieńca o roziskrzonych oczach — tam sięgającego gdzie wzrok nie sięga... — lecz nie wiedziano na świecie, że w naturze i nieskończoności czasów wiedza z wiarą są jedną złączoną miłością, aż dano świadectwo temu w jednej postaci — i nazwano mnie złączonem imieniem tych co mię zrodzili — Prawdą. Lecz aby dobro i szczęście bezwzględne zapanowało na świecie wśród ludzi ja Vero ciebie zapragnąłem Felicito, która dotąd byłaś złudzeniem szczęścia, i w złączeniu z tobą pragnę dać ludzkości prawdziwe szczęście. — Spocznij i poddaj się w pokorze woli wyższej złączonych sił natury całego wszechświata, a gdy ze snu powstaniemy znowu — zaniesiemy w dolinę łez do ludzi piosnki i kwiaty nowe i nieśmiertelne.

Tak zasnęła wiotka, czysta Felicitá Illusione w objęciach tego, który pierwszy śmiał nazwać ją po imieniu — Złudzeniem, i który surowem spojrzeniem przeraziwszy urocze dziewczę zajrzał głęboko w zdziwione, marzące jej oczy — i wzniósł jej duszę ponad przemijające piosnki i kwiaty. A gdy razem zasnęli w milczeniu wschodzącej nocy na łące, wśród kielichów irysów i lilij, nad ruczajem pod lasem śpiewały słowiki jakieś nowe, przecudne melodye— pełne wibracyi i siły życia, na stepie trawy i kępy szeptały wspólnie cichą modlitwę o odrodzenie dla świata, a gwiazdy wpatrzone w piękną uśpioną



Widok z okolicy Biskry.

Biskra, miasto w Algeryi, znane już w czasach rzymskich, składa się ze siedmiu murami otoczonych wsi berberyjskich i francuskiej dzielnicy z fortem St. Germain; liczy 7000 mieszkańców, w tej liczbie 300 Europejczyków. Okolica obfituje w wielką ilość przepysznych palm daktylowych (150,000) i pięknych drzew oliwnych. (5000).

dziewczynę i w młodzieńca czuwającego przy niej uśmiechały się wzajemnie do siebie i leciały na ziemię, by zanieść w świat ziemski błyski nieśmiertelności. I tak cała natura, połączona w jedną wielką duszę, łączyła dozgonnym, wieczystym węzłem dwa duchy, które ciałem były na ziemi, a boskim pierwiastkiem istnienia wszechwiecznego w dalekich zaświatach. — I śnili, że chodzą razem po gwiazdach, ona wiotka i słaba, wsparta na ramieniu jego, który był samą siłą i mocą, zrodzony z Wiary i Wiedzy. I pokłonili się razem u stóp nieskończonej Potęgi Boga Najwyższego, który był Połączeniem całego Wszechświata i miliardów wieków-wieków. I czuli się też cząstką jedną Tego Boga, w Nim i przez Niego zarazem i byli szczęśliwi, że istnieją, choć bardzo mali w tym oceanie nieskończoności.

A ona podniosła swe duże, zdziwione oczy ku niemu i Bogu pytając — czem zasłużyła na tak wielką łaskę być tem czemś choć tak małem nawet? A wówczas podniosły się setki głosów i głosików wdzięcznych z doliny ziemi, wstawiając się za nią w słowach dziękczynnych za piosnki i kwiaty, które w ciężkich chwilach dawały ludziom złudzenie chociaż radości i wesela. I zmarłe, oraz więdnące kwiatki błagały o wywyższenie miłej towarzyszki i przyjaciółki, wdzięczne za pieszczoty i miłość.

I młodzieniec przemówił za nią, że choć płocha i lekka kochanka pól i łąk tęskniła i pragnęła Prawdy poddając się z pokorą natchnieniu Łaski wyższej, pomimo surowych słów, które ją przelękły. A Wiara i Wiedza, rodzice Very zstąpiły z dalekich światów ku ziemi, błogosławiąc budzącym się ze snu i ciemności nocy Prawdzie i szczęściu. I mądrość z prawdą przenikały powoli duszę dziewczyny i Prawda potęgą i siłą przejmowała serce i zbudziła się piękną i podobną jemu — w szatach prostych z białych obłoków spowitych — otulona w nie przez przyrodę w mgłach nocy, a wszystkie kwiatki rozchylając swe pączki, cudne główki ku nim zwróciły, prześlicznie rozkwitłe o brzasku i nieśmiertelne.

I zeszli razem złączeni Prawda i szczęście na ziemię w dolinę łez do ludzi, niosąc szczęście prawdziwe w kwiatach i piosnkach wiecznych, na pociechę ludziom.



Ludwik M.

RÓZBITEK.

(Z Heinego.)

Nadzieja, miłość, wszystko stracone!
Jako rozbitek, topielec leżę,
Którego morze wyrzuci słone
Z gniewem na puste, dzikie wybrzeże.

Przedemną huczy pustynia wodna,
Wstecz za mną troska, krwi serca głodna,
Nademną płyną leniwo chmury,
Bezkształtne, szare powietrza córy,
Co w mgliste wiadra mórz wodę słoną
Z mokrych otchłani tajemnie chłoną
I niosą z trudem przez nieb przestworza,
By ją napowrót wylać do morza.
Ach, nudna, zmudna praca ich wieczna
I jak mój żywot bezużyteczna!

Bałwany szemrzą, w krąg kwilą mewy,
Dawne wspomnienia, przebrzmiałe śpiewy,
Sny zapomniane owiały duszę,
A ona słodkie cierpi katusze.

Tam na północy,
Jak gwiazda nocy,
Lśni czarodziejka-królewna.
Smagła jak łania!
Wiotką osłania
Kibić jej szata powiewna.
Kruczy, prześliczny,
Włos metaliczny
W bujne się wije pierścienie
I twarz promienną,
Uroczą, senną
W melancholijne skrył cienie.
Ach! a w tej twarzy
Słońce się żarzy,
Lecz słońce czarne z hebanu!
Jam pił zeń czary,
Słodkie nektary,
Natchnienie brał do peanu!

I pomnę, kiedy w gorączki szale
Żywiej mi w piersi zagrały fale,
Gdym drżał i rzucał z ócz błyskawice,
Patrząc namiętnie w twoje źrenice,
Wtedy na wardze twej dumnej chłodnej
Siadał uśmiechu gołąb łagodny,
Wtedy z tych dumnych, chłodnych rubinów
Płynęły słowa, jak woń jaśminów
Upajające, melancholiczne
I jak miesięczny odblask magiczne.
Wtedy też dusza moja w zachwycie
Wzlatała orłem tonąć w błękicie.

O milczcie mewy, milczcie bałwany!
Szczęścia mojego okręt strzaskany!
Nadzieja, miłość, znikły jak mara,
A ja rozbitek, wichrów ofiara,
Leżę na brzegu dzikim, samotnym
I chłodzę lica w piasku wilgotnym.

Czas jako powróz wiąże ducha do natury,
Póty męczyć się musisz aż zużyjesz sznury.

A. Mickiewicz.

Kujawiak

chłop-bohater.

Nie wiem, jak mu było na imię i jak się nazywał, lecz że to był chłop urodzony na Kujawach, nazywać go będę „Kujawiakiem.“

Był czas, że nasz Kujawiak mieszkał na komornem w Inowrocławiu i tylko na dniówki do roboty w polu do wsi sąsiednich chodził, ostatnie jednak dwa lata przed pamiętnym rokiem 63 służył u państwa Dąbskich w Konarach.

Gdy w Królestwie wybuchło powstanie, a młodziuchny wówczas syn dziedziców, Franciszek Dąbski, przeszedłszy szczęśliwie granicę, dzielnie bił Moskali, postanowił i nasz Kujawiak za przykładem panicza iść na wojaczkę.

Po różnych przygodach dostał się oddział do pułkownika Baczkowskiego, który wprost z Brazylii, gdzie miał plantacye kawy, na wieść o wybuchu powstania do kraju wrócił i stanął na czele jednego z tworzących się świeżo oddziałów.

Dni parę upłynęło naszemu Kujawiakowi spokojnie, bo pułkownik chciał najpierw świeżo zaciągniętych szeregowców trochę wyćwiczyć i oddział zorganizować.

Lecz pewnej nocy wyruszono nagle w pochód i po nużącym, wielogodzinnym marszu przybyto nareszcie

do lasu, położonego za Ruszkową Wolą państwa Morzyckich.

Radość szeregowców była wielka, gdy w lesie znaleźli gotowe z chróstu i gałęzi szałasy, snać pozostawione przez jakiś poprzednio tędy przechodzący oddział. Zmęczeni, zziajani pokładli się więc w cieniu na ziemię, pozrzucawszy wierzchnie ubrania, bo upał był nieznośny (było to mniej więcej w połowie czerwca).

Kawalerya poszła nieco dalej na lewo, by w znajdującem się tam jeziorze konie napoić; reszta zaś ustawiła się na pikietach.

Nasz Kujawiak służył piechotką w trzeciej kompanii, (którą prowadził Jan Lignian), pozostał więc przy szałasach, przy których poskładano broń w kozły i wraz z innymi ułożył się do snu na ziemi.

Naraz jak grom z pogodnego nieba, huknęła skądciś salwa karabinowa, a kul kilka,jak osy naprzykrzone, brzyknęło tuż nad uchem usypiającego właśnie Kujawiaka. Przerażony zerwał się na równe nogi. A tu już z szałasów nawpół ubrani jedni, bez butów drudzy, bez czapek wypadli szeregowcy za broń na prędce chwytając.

— Do broni! — do broni! — rozległo się po całym obozie.

Nieprzyjaciela jednakowoż nigdzie naokół widać nie było, choć znów z boku i z tyłu rozległa się szarża wystrzałów; lecz wreszcie zmiarkowano, że wróg przyczajony z tyłu za szałasami.

Nasz Kujawiak z własnej woli i chęci poszedł na wojaczkę, lecz, że to jeszcze dotąd nie był ani razu w potrzebie wojennej, ni prochu nie powąchał, „matyjaśnie“ jakoś zrobiło mu się „na wątpiu,“ a zęby szczękały mu jak we febrze.

— Dyć nie szczękaj tak zębiskami, — rzekł stojący obok niego, wytrawny już we wojaczce szeregowiec. — Jak zginiesz, to ci już wilcy zębiskami przygrywać będą pogrzebową melodyę i pochów galanty wnet ci za darmo sprawią, mówił, nabijając spokojnie fuzyą.

A tu znowu koło nich przeleciały ze świstem kule.

— Świergocą te kulki kiejby ptaszki, — rzekł towarzysz Kujawiaka, — a jak mnie który z tych ołowianych ptaszków pierwej, niż ciebie, na dobre utrafi, to już ci tam na wszelki wypadek obstaluję kwaterę na drugim świecie.

Lecz ledwie słów tych domówił, gdy kula w pierś go trafiła. Przechylił się na bok i padł na ręce Kujawiaka, który na ziemi go położył i pochylił się nad nim z trwogą.

— Nic to, nic to, — mówił ranny gasnącym głosem, — jeno trza mi się stawić u Chrystusa na ordynansie — chwyciły go kurcze śmiertelne.

Słowa i widok konającego kolegi nie mogły się przyczynić do podniesienia ducha w naszym bohaterze, to też dusza jego ze strachu w tej chwili, jak to mówią, na ramieniu, a byłaby chętnie i dalej stąd powędrowała, gdyby to tylko było możliwem.

— Naprzód wiara! — rozległa się komenda. Zimno mimo straszliwego upału zrobiło się naszemu Kujawiakowi; lecz że już wszyscy ruszyli, więc i on musi z nimi.

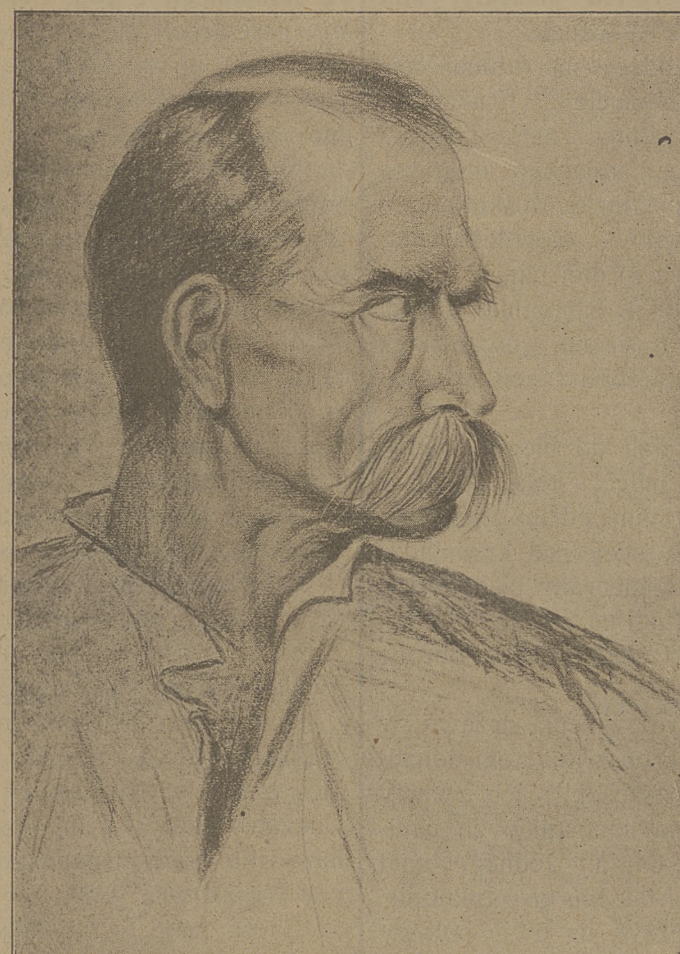
Wypadli na pole i nasz Kujawiak ujrzał naraz tuż przed sobą zwarte szeregi wrogów i błyszczące w słońcu, wzniesione do strzału lufy ich karabinów. Mróz przeszedł mu raz jeszcze po kościach.

Kule wrogów były już w drodze do ich serc, padły wystrzały. Kujawiak posłyszał obok siebie, poza sobą i przed sobą przeraźliwe jęki, rozdzierające falę powietrzną. I strasznie mu się zrobiło.

Padły znów nowe strzały, z których jeden tuż przy głowie mu przeleciał i zranił mu policzek. Rana była lekka, lecz strzał tak go ogłuszył, że nasz Kujawiak padł jak długi na ziemię.

— O! laboga, zabił mnie, — zawołał, — padając i zamknął oczy. — Ha! cóż robić, zabił mnie ścierwajuchy, — myślał sobie. — Ano stało się.

Lecz naraz uczuł, że ktoś go ciągnie i usiłuje podnieść ze ziemi. Był to lekarz oddziałowy, który spostrzegłszy padającego Kujawiaka, chciał go podnieść i wynieść z szeregu walczących, by go nie stratowano.



Rys. Lewański. **Głowa mężczyzny.** (Studyum.)

Ale Kujawiak nasz ani drgnął.

— Nie głupim, — myślał sobie, — skoro raz już mnie zabili, to przynajmniej ten profit, że już w mieście na ten przykład komornego nigdy płacić nie będę potrzebował i człek może sobie choć spokojnie leżeć, a nie tarapać się jeszcze gdziesik przy takim strasznym upale; nie potrzebuję wstawać i tyle.

I wyprężał się coraz bardziej.

Ale lekarz zdołał wreszcie z pomocą jednego jeszcze szeregowca odciągnąć Kujawiaka na stronę i policzek mu obandażować.

Ból straszny, gdy lekarz ranę mu opatrywał, oprzytomniał docna Kujawiaka i przekonał go, że żyje jeszcze. Roztworzył oczy i rozejrzał się wkoło.

Na lewem skrzydle dwie kompanie strzelców szły na samym przodzie wroga, środkiem łan piechoty, na prawo zaś kosynierzy. Grzmiąca rozmo-

wa karabinów nie ustawała na chwilę. Od strony jeziora, poprzez zasłonę z dymów uwianą dojrzał Kujawiak pędzący na wroga oddział kawaleryi. Konie pędziły tak, że wydawać się mogło, iż brzuchami dotykają ziemi.

A na przodzie sam pułkownik Raczkowski naciera wroga. Naraz koń pułkownika śmiertelnie rażony pada wraz z jeźdźcem na wznak.

Skoczył dowódzcy na ratunek adjutant jego, młodziuchny Franciszek Dąbski i swego konia pułkownikowi odstąpił. Lecz na stojącego adjutanta kilkunastu naraz natarło Moskali.

— Jezusiczku! — zawołał Kujawiak — rety, dyć to mój panicz złoty!

I w jednej chwili zapomniał o bólu i strachu, zerwał się na równe nogi, kosę ścisnął w garści i rzucił się naprzód.

Moskale strzelali do niego. Jedna kula urwała mu palec u ręki, druga w ucho go zraniła, inne odzież mu przedziurawiły. A że ślizgo od krwi ludzkiej było, więc wiele razy się potykał i raz upadł jak długi na ziemię, lecz zaraz się podniósł i biegł dalej na obronę swego panicza.

I jak piorun rozszczepia drzewo, w które uderzy, tak on z impetem dopadł do wrogów, rozszczepił ich zwarty szereg i sunął na napastujących panicza Moskali jak burza. Jednego lunął kosą przez łeb i tak mu go galantnie, jakby kto odmierzył, na dwie połowy równiuśko przeciął, drugiego lunął między ślepie, trzeciemu jednym zamachem pazurę wraz z karabinem odrąbał.

I jakby krwią się upił, rzucał się w prawo i lewo, waląc kosą swą o ludzi, jak chłop cepem zboże.

Krwawo zaszły mu białka ócz, a on sam swoją i wrogów krwią omazany, osmolony, straszny, szerzył tak dalej dzieło zniszczeneia.

Ale Moskal we wszystkich punktach cofać się już zaczynał. Wreszcie dopadłszy do należącego do Ruszkowej Woli folwarku, do stojących nade drogą chałup, kilku się schroniło i drzwi za sobą zatarasowało. Naszym zabrakło amunicyi.

Cóż teraz poczniemy? — rzekł dowódzca. — Gdybyśmy tak jeszcze trochę ładunków mieli, to ani Moskal nie uszedłby żywcem.

Dosłyszał te słowa nasz Kujawiak i w jednej chwili powziął nagłe postanowienie.

Podniósł z ziemi kawał odłamanego drzewca od sztandaru; zapałkami, które miał w kieszeni przy sobie, zapalił i mimo strzałów, jakiemi go ustawicznie, lecz bezskutecznie Moskale z za okien prażyli, dopadł z boku chałupy, wskrobał się na dach i płonące drzewce do strzechy przyłożył. Pocżem ściągnąwszy but z nogi, użył go jako dymaczki, aż gdy ognisty wytrysk iskier buchnął, Kujawiak płonący snop strzechy oderwał i na dach sąsiedniej chaty rzucił. Stojąc na skraju słomianego dachu, dymem odurzony, przewrócił się i szczęściem spadł na ziemię, bo w chwilę potem chałupa cała stanęła w ogniu. A i drugie chałupy wnet się zajęły.

Moskale z przeraźliwym krzykiem wyskakiwać zaczęli przez okno, bo drzwi zatarasowanych nie było czasu otwierać, lecz za oknami czekali już na nich nasi i żaden z Moskali nie uszedł żywcem, wyjąwszy tych, których jako jeńców pojmano. A bohaterowi naszemu pospieszono szczęściem zaraz na ratunek i nawpół nieżywego wyciągnięto z pod gruzów, krwią obianego i strasznie poparzonego. Odstawiono go do dworu w Ruszkowej Woli, gdzie wiele tygodni przeleżał, aż wreszcie pod troskliwą opieką do zdrowia wrócił i potem jeszcze nieraz Moskalowi dał się we znaki.

Nazwiska jego nikt nie pamięta, pomnika żadnego mu nie wystawiono, ale pono w Niebieskich Rejestrach Chrystus Pan złotemi literami zapisał nazwisko tego nieznanego bohatera z pod Ruszkowej Woli.

Cześć pamięci nieznanego Kujawiaka.

Tadeusz Alf.

Sursum corda!

Po dniach burzy, gradów, sloty,
Zawsze promień słońca złoty
Blaskiem swym rozpędza chmury,
By w niebieskie znów lazury
Przyozdobić świat!

I nam dzisiaj nie wesoło,
Bólem zorało się czoło,
I pytamy przygnębieni
Czy się już to nie odmieni,
Co planuje wróg!

W ręku Boga nasze losy,
On odwróci straszne ciosy
I zlituje się nad nami,
By nie zostać tułaczami,
Gdy mamy swój kraj!

A więc śmiało — serca w górę
Lepsza dola zmiażdży chmurę,
Bośmy tu na polskiej glebie,
Nie u obcych, lecz u siebie,
Tu ojczysty łan!

Więc choć czasem kruk zakracze,
Serce z żalu nam zapłacze,
W to nam zawsze wierzyć trzeba,
Że w ojczyźnie dla nas chleba
Starczy póki świat!

Czas jak woda rzeką płynie,
I serdeczny ból przeminie,
Inne już znieślimy ciosy!
Z naszych pól zbierzemy kłosy
Bo Bóg ojcem nam!

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 2-go października 1413 sejm w Horodle zatwierdza zjednoczenie Litwy z Koroną. — Śmierć Barbary, pierwszej żony Zygmunta I. — 1587 przybycie Zygmunta III do Gdańska.

Dnia 3-go października 1609 pobicie Szwedów pod Rewlem. — 1654 Moskale wchodzą do Smoleńska. — 1671 Turcy podnoszą wojnę. — 1705 Stanisław Leszczyński zaprzysięga pacta conventa.

Dnia 4-go października 1509 bitwa z Wołochami na Pokuciu. — 1576 sejm w Toruniu. — 1582 sejm w Warszawie. — 1705 koronacya Stanisława Leszczyńskiego. — 1831 wojska polskie wchodzą w kordon pruski.

Dnia 5-go października 1356 prawo teutońskie wprowadzone do Krakowa. — 1465 urodzenie króla Aleksandra.— 1763 śmierć Augusta III. — 1707 sejm konfederacyi dysydenckiej.

Dnia 6-go października 1550 śmierć Samuela Maciejowskiego, biskupa krakowskiego. — 1611 rozejm ze Szwedami. —1669 koronacya Michała Wiśniowieckiego. — 1694 zyskana pod Kamieńcem bitwa nad Turkami. — 1733 August III. królem ogłoszony. — 1766 otwarcie sejmu pod laską Czaplica. — 1788 otwarcie sejmu czteroletniego.

Dnia 7-go października 1613 urodzenie królewicza Ferdynanda Karola. — 1617 poddanie się Dorohobuża. — 1620 klęska cecorska — śmierć Żółkiewskiego. — 1621 pokój z Turkami pod Chocimem. — 1659 sprzymierzeni Austryacy opuszczają Kraków. — 1831 poddanie się Modlina.

Dnia 8-go października 1587 Zygmunt III. zaprzysięga pacta conventa. — 1657 pogromienie Szwedów pod Prostkami. — 1683 bitwa z Turkami pod Strygoniem. — 1709 August II. godzi się z carem Piotrem w Toruniu.

Humor i satyra.

Figle polityczne.

Po odsłonięciu pomnika Jana Sobieskiego w Łazienkach za czasów panowania króla Stanisława Augusta jakiś dowcipniś nalepił następujący dwuwiersz na pomniku:

„Sto tysięcy kosztował, jabym trzykroć złożył,
Żeby umarł Stanisław, a Jan III. ożył.“

* * *

Podczas wyborów do sejmu partya, przeciwna pewnemu kandydatowi, ogłosiła plakatami następujący dwuwiersz:

„XXX. chce się dostać do szczytu karyery,
Wybierzmy go na posła bez jednej litery.“

* * *

Żartobliwa odpowiedź.

— Daj mi pan rym do wyrazu cietrzew — zagadnął ktoś znienacka poetę Karpińskiego, a na to poeta bez namysłu:

„Z pomiędzy drzew
Wyleciał cietrzew,
Szukał bałwana
I siadł na pana.“

* * *

Z facecyj autentycznych.

Do kanclerza Metternicha przychodzi biedny żydek z prośbą i ciągle go tytułuje: Herr Kancelist, zamiast Herr Kancler! — Zniecierpliwiony dostojnik mówi nareszcie: Aber ich bin doch kein Kancelist! — na co petent prędko: Was nicht ist, kann noch werden!

* * *

Raz odwiedzał cesarz Józef II. więzienie. Każdy więzień na zapytanie cesarza zaręczał, że niewinnie siedzi; tylko jeden wyznał szczerze, że zasłużył na karę za swój występek. — Tak? zawołał cesarz, co ty tu, łotrze, robisz między tak cnotliwymi ludzmi? Zaraz mi się stąd wynoś. I kazał go puścić.

* * *

Król Fryderyk pyta pastora, czy czyta biblię? O bardzo pilnie, każdy rok całą przeczytam. — Król skrycie włożył banknot stutalarowy do księgi i odjechał. Po roku wstąpił do pastora i znów go pyta, czy w tym roku przeczytał biblię? — Całą przeczytałem, była odpowiedź. — Król otwiera książkę i wyciągając banknot powiada: teraz wiem, że nie czytasz biblii.

* * *

Zdania dwóch poetów.

Jeden z naszych poetów powiedział:

„Kochać się w starej babie, jest to ciężko zgrzeszyć,
Bo i Boga obrazić i djabła rozśmieszyć.“

A na to drugi:

„Kochać się w starej babie, jest to duszę zbawić,
W samym bowiem uczynku pokutę odprawić.“

* * *

Usprawiedliwił się.

Pewien gamoń, przypatrując się wystawie sklepowej, stłukł przez nieostrożność szybę; chcąc tedy uwolnić się od odpowiedzialności, pobiegł cwałem w ulicę, lecz na szczęście został przytrzymany przez dopędzającego go właściciela sklepu.

— Mam cię, bratku, toś ty mi stłukł szybę?

— Ja panie.

— A dlaczegoś uciekał?

— Bom się spieszył do domu po pieniądze, aby panu zapłacić za szkodę.

* * *

SZARADA.

Ułożył czytelnik „Pracy“ p. Franek K. z obczyzny.

Wiadomo przecie,
Że dobrze pierwsze trzecie,
Kto z pierwszej drugiej trzeciej,
Pożytek sobie kleci.
Wspak drudzy, trzeci, czwarci
I wszyscy dużo warci.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 6-go października włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dobre i dokładne rozwiązanie powyższej zagadki.

Rozwiązanie logogryfu zamieszczonego w numerze 38-ym:

A r c y b i s k u **p**
n a b o ż e ń s t w **o**
t a n d e **m**
o b e r o **n**
n i e z a p o m i n a j k **i**
i r k u c **k**
w o d z i r e **j**
i m i t a c y **a**
w o d o c i ą **g**
u r s z u l a n k **i**
l i l i **e**
s a n d a **ł**
k a n a **ł**
i n f l a n t **y**

Antoni Wiwulski — pomnik Jagiełły.

Dobre rozwiązanie nadesłały do dnia wyznaczonego termina t. j. do 22-go września włącznie następujące osoby:

Z POZNANIA: pp. Aurelia Matuszewska, Julia Woźnicka, Fr. Powałowska, K Wrzesiński, Marya Tuchołka, Rozalia Pałczyńska, Jan Borys, Janek z pod Góry Przemysława.

Z PROWINCYI: pp. Ada Drecka z Miłosławia, C. J. z Obornik, Anna Hoffman i Zofia Stachowska z Grodziska, Ignacy Andrzejewski i Jaroch Czabański z Zaniemyśla, Alojzy Henke z Czarnkowa, Stanisław Rychlicki z Krotoszyna Dr. Żmidziński ze Skalmierzyc, „Trójka hultajska“ z Kujaw, Zojda z Wiecanowa pod Mogilnem, Zofia Osińska z Polskiego Wilkowa w powiecie śmigielskim, Hanusia Preibiszówna z Mokronosów, Czesia Wybrańska z Doruchowa w powiecie ostrzeszowskim, Stanisław Pietrzak z Strzyżewa kościelnego pod Gnieznem, Marya Senatorówna z Dobrojewa.

Z PRUS ZACHODNICH: pp. Zofia Karasiewicz z Tucholi, Pelagia Nowak z Grudziądza Kazimierz i Stanisława Balcerscy z Wąbrzeźna, Stefania Czarnowska z Kawek, Stefan Kryzan z Dembinca w powiecie grudziądzkim, Władysław Czyżewski z Jaźwisk.

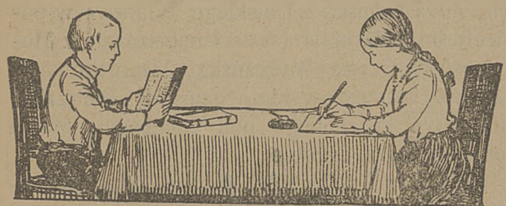
ZE ŚLĄSKA: pp. Mądra Kujawianka, Mops i Koziołek z Wrocławia, Wiktor Polak z Bobrku, Paweł Szendzielorz z Michałkowic, Berta Piecha z Burowca, Albina Badura z Rożdzienia.

Z GALICYI: pp. Marya Świtkowska i Józef Dorazid z Krakowa, Jan Tatkowski z Łąki, Gizela Ochenduszko z Liska, Bronisław Ciechulski ze Zbydniowic, Anna Rejman z Łąki, Zbyszko z Rudawic.

Z OBCZYZNY: pp. Salomea Ziemecka, Ludwika Bock i Helena Sokołowska z Berlina, Kasper Kuliński z Welzow, Stefania Dużyńska z Neu-Welzow.

Nagrodę otrzymali: pp. Julia Woźnicka z Poznania, Hanusia Preibiszówna z Mokronosów i Mądra Kujawianka z Wrocławia.

NASZ KĄCIK.



Na Różańcową.

Ojcze nasz, Zdrowaś i Wierzę
I wspomnienie Boskiej męki,
Płyną nam z serca pacierze,
Płyną na chwałę Panienki.
I w cześć Najświętszej Rodzicy
Modlitewki płyną z duszy,
Tyle w nich słodkiej tęsknicy,
Tak każda serce poruszy.
Aż szybciej krążą krwi fale,
Gdy wpośród kościelnych cieni,
Sunąc różańca korale,
Modlim się kornie schyleni:
Wśród ziemskiej drogi dalekiej,
Gdy tak poślizgnąć się łatwo,
O, Matko, blask Twej opieki
Niech stale świeci nad dziatwą!
Niechaj nie zejdziem w bezdroża,
Ty strzeż nas w każdej przygodzie,
Abyśmy, czeladka Boża
Byli pociechą w narodzie.
Aby z nas każdy ziarenko
Rzucił do czynów skarbnicy,
Błagamy dzisiaj piosenką
Ciebie, Najświętszej Dziewicy!

* * *

Wrażenia z wycieczki.

(Ciąg dalszy).

Im więcej zbliżaliśmy się do gór świętokrzyskich, tem okolica stawała się dziksza i piękniejsza zarazem.

Z lewej strony zwartym murem ciągnął się łańcuch gór, porosłych odwiecznym lasem, a z daleka, w zachodzącem krwawo słońcu, na najwyższym szczycie, połyskiwały mury świętokrzyskiego kościoła. — Wjechaliśmy w wąwóz tak wąski, że zaledwie koła powozu obracać się mogły, a jednak ogromna jego spadzistość, zmuszała konie do szybkiego biegu, więc też ta karkołomna jazda z ust niejednego z nas wywoływała okrzyki przerażenia. — Z nad wysokich brzegów wąwozu sterczały nagie korzenie wierzb, a zwieszające się gałęzie drzew biły nas w pędzie po twarzach i nawet nie wyciągając ręki, można było rwać wonne zioła i kwiaty. — O ósmej stanęliśmy na miejscu. Kiedy siedzieliśmy przy wieczerzy zerwała się gwałtowna wichura, błyskawice co chwila rozrywały niebiosa, huknęły grzmoty i gwałtowna ulewa spadła na spragnioną ziemię. — Znużeni wcześnie udaliśmy się na spoczynek, a rano radośnie powitaliśmy słoneczną cudną pogodę. — Już o ósmej stanął przed dworem czterokonny, drabiniasty wóz, pospiesznie więc zjadłszy śniadanie, w dziesięć osób, jak kto mógł najlepiej, umieściliśmy się na nim, a ileż przy tem było wesołych żartów i śmiechu.

I znów kilkogodzinna jazda przy ślicznej pogodzie, w cudnej okolicy, a klasztor i kościół świętokrzyski coraz stawał się bliższy i widoczniejszy.

Minęliśmy drogowskaz, oto tu kończy się gubernia Radomska, a zaczyna Kielecka, a ot i już maleńkie, żydowskie miasteczko Nowa Słupia. Minąwszy rynek, z powodu jarmarku zapchany włościańskiemi wózkami wjechaliśmy w uliczkę i już znaleźliśmy się u stóp Łysej góry. — Oto tu posąg kamienny w klęczącej postawie, jakaś zbrodnicza ręka otłukła nos, czoło, usta i ręce i została bezkształtna masa.

Legenda powiada, że figura przedstawia jakiegoś świętego i że od wieków nieznacznie wprawdzie, ale posuwa się naprzód. — W tem miejscu opuściliśmy nasz wóz i wspierając się na kijach, po stromej i kamienistej drodze, pięliśmy się co raz wyżej.

Odświeżony ulewą dnia poprzedniego las, pachniał żywicą, a zmęczone trudnym pochodem twarze chłodził nam cień odwiecznych drzew.

Dziewięcioletnia córeczka p. M., Maryńcia zawołała strudzona: — Ciekawam komu też przyszedł pomysł budowania kościoła aż tak wysoko? Pan M. roześmiał się i zaczął nam opowiadać:

(Ciąg dalszy nastąpi).

* * *

Z cenzurkami.

A któż to tak pokryjomu
Waha się, skrada do domu,
Drży cały, płacze i wzdycha
I z oczu płynie łza cicha?
A któżby? Już głos serduszek
Szepnął wam pewnie: „Leniuszek,
Nieuczek, próżniak do domu
Tak skrada się pokryjomu.
Próżnował całe pół roku,
Teraz zapóźno, łzą w oku
Już nie poprawi cenzury
I nie uniknie już bury!“
O, serce czuje już moje,
Że ojciec z rózgą wyskoczy,
Że płaczu dzieci się boję,
Uciekam, zasłaniam oczy.
— — — — — — — —
A któż tak biegnie wesoło
I z buzi szczęścia śmiech tryska,
W górę pogodne wzniósł czoło
I w dłoni mocno coś ściska?
A któżby? Pewnie już wiecie,
Serduszko pewnie wam puka,
Że pracowite to dziecię
I że je nęci nauka.
Z dobrem świadectwem w kieszeni
Biegnie i woła zdaleka
Zdyszany wpadłszy do sieni:
„Rodzice, radość was czeka!“
I szczęście bije z obliczy,
Każdy się słodko uśmiecha
I nikt uścisków nie zliczy.
Ot, to rodziców pociecha.

P. W.

Powiedzcie mi dziatki moje, które z owych dzieci szczęśliwsze, czy to, które próżnując całe półrocze szkolne z trwogą powraca do domu, czy też to, które cieszy się, że dobrem świadectwem ucieszy rodziców? Ja bym bardzo, bardzo życzyła sobie, żeby polskie dzieci, a zwłaszcza moje miłe czytelniczki i czytelnicy zawsze z pochwałą szkolną powracali do domu, bo tylko pilne i pracowite dzieci wyrosną na pożytek naszej drogiej Ojczyzny, a z próżniaków i leniuszków kraj nasz pociechy mieć nie będzie.

To też ogromnie ucieszyłeś mnie drogi Leszku tak ładnie opisując wakacye na wsi spędzone i obiecując dobrze się uczyć, by rodziców ucieszyć swem świadectwem. Pewnie Pan Bóg twym poczciwym zamiarom pobłogosławił; proszę cię drogi chłopczyku donieś mi znów o tem.

Również ucieszyłam się z pięknej pocztówki z Roździenia, którą przysłały mi na pamiątkę zlotu śląskiego „Sokoła“ moje stałe czytelniczki Jadzia i Albinka Badurówne. Wszystkim drogim dzieciom wogóle dziękuję za ich liściki, a sześcioletniego Władka Ilskiego, za to, że tak ładnie i serdecznie napisał, całuję i ściskam. Powróciłam już do Poznania i szczerze pragnę tak dla was pisać i pracować, abyście drogie dzieci coraz więcej kochały waszą przyjaciółkę

Paulę Wężyk.



KAMIENNA WOLA.

POWIEŚĆ.

3)

(Ciąg dalszy).

Tędy to pani Piotrowa na grób dzieci i ranne nabożeństwo chodziła, tędy zwykle ksiądz proboszcz kolatorów swoich szedł odwiedzać i do tego portu dążył p. Piotr, gdy go nagle wstyd mogących odgadnąć rzecz ludzi, na początku drogi zatrzymał. Ale szczęśliwa myśl znowu mu tam bezpiecznie dostać się pozwoliła i znalazłszy się w szpalerze, odetchnął biedak z głębi serca. — No!.... rzekł sobie z uśmiechem radości — wygrana!...

Tu już był u celu, bo ztąd mógł się nietylko do furtki ogrodowej cichaczem dostać, ale gdyby zechciał, mógł zaraz na miejscu schowany za szpalerem płot przebyć i drugą jego stroną koło wiejskiej stodoły do drogi się przekraść....

Więc uśmiechał się i przystanął, aby odpocząć, ale znów oczy niespokojną myślą błysnęły. A nuż straszący go gość prosto sienią do ogrodu wejdzie i mając wzrok bystry — o! pewno że wzrok jego musiał być bystry bardzo!... u furtki go właśnie dostrzeże?.... Bezpieczniej było przebyć Rubikon płotu i koło Matyskowej stodoły do drogi się dostać....

Stary był, bardzo był stary w tej chwili i mógł łatwo z wysokiego płotu na ziemię runąć, mógł go jaki zły pies wiejski, jak złodzieja za nogę schwycić, i zdziecinniałemu nagle przez bolesne strachu uczucie, zaczęło to lękliwie do głowy przychodzić, gdy na szczęście poczuł w ręku laskę, którą w sieni machinalnie schwycił i znów uśmiechnął się tryumfująco. — Jużem teraz pan!... mruknął junacko, ściskając kij w ręku — płot przelezę i psom się nie dam!

Zrobił zaraz biedak jak zapowiedział. Ostrożnie, powoli, grunt laską próbując, płot przebył, jak złodziej wymykający się tajemniczo obejrzał się do koła i chyłkiem koło chłopskiej stodoły do drogi zdążał, gdy tymczasem Jadwiga nieruchomo w ganku stała, powstrzymując wielkim wysiłkiem woli nerwowe ust drganie. Czekała gościa, czekała aż z lewej strony dworu wrota wjezdne między klombami skrzypną, koń biały i koń bułany na dziedziniec się wynurzy i znana jej dobrze postać w szaraczkowej bekieszy przede dwór zajedzie. Ale upłynęła jedna, druga, dziesiąta minuta oczekiwania, które ściskało jej bicie serca w piersiach, a gość nie przybywał i już błysnęła jej nadzieja, że może tylko drogą ku wsi przejeżdżał, gdy dostrzegła znowu bryczkę, która swoją zdaleka widną uprzężą po za drzewami świeciła. Stała spokojnie na drodze, wrot nie dojechawszy, powierzona straży chłopaczka, który nią powoził, a ten, którego wiozła, wysiadł już i poszedł w bok ku zabudowaniom gospodarskim, gdzie Jadwiga widziała go wyraźnie, bo od tej strony żadne drzewo widoku nie zasłaniało. Stał przed stodołą i patrzył na nią badawczo, obchodził węgły, zadzierał głowę i stan dachu lustrował; potem odbył tę samą inspekcyę przy śpichrzu, potem jeszcze przeniósł się z podobnem zajęciem ku stajniom, a Jadwiga zadziwiona i zatrwożona razem, posuwała się za nim wzrokiem i śledziła ruch każdy, aż zwolna przestrach urosł w niej do zabobonnego jakiegoś rozmiaru. — Boże mój! — zawołała sama w sobie z rozpaczą niemal — co to jest? Czego ten człowiek w ten sposób tu szuka, co ten człowiek myśli robić?

Kto był przecież ten człowiek? Wymieniła ojcu jego nazwisko i ten zbladł, stracił przytomność i uciekał z domu własnego, trzęsąc się od strachu, a ona jak męczennica, na przebycie ciężkiej próby skazana, czekała go jak w ziemię wrosła. Przecież postać była wcale pospolita i zwyczajna, powierzchowność pokazywała mieszczanina z małego miasteczka, w szaraczku, w grubych butach, w sukiennej czapce z daszkiem, a figura była wzrostu średniego, krępa, w miarę opiekła, twarzą ani brzydką, ani szczególniej piękną, tylko przez siwe, bystre oczy wyrazisto przebiegłą, pokazywała też wiek średni, bliski lat pięćdziesięciu. Wszyscy go znali na okolicę, bo był to Krezus i finansista miejscowy, który chłopu i panu, a nawet żydkom pieniędzy pożyczał i na różne operacye przemysłowe się puszczał. Handlował wszystkiem: tam las, tam zboże, wełnę albo okowitę zakupił, gdy się dobrze kupić trafiało, a sprzedał, gdy sprzedaż była zyskowna i mówiono ogólnie, że sto na sto zawsze zarobi. Żydzi miejscowi z początku go nienawidzili, potem widząc, że go przemódz nie mogą, w ugodę niejako z nim weszli i nawet handlarze drobniejsi, przemysłowy plebs miasteczka sztab jego tworzył, służąc mu za reporterów, aby potem do jakiejś cząsteczki zysku przypuszczonymi zostać. Utrwaliło to, nawet po szlacheckich dworach, wiarę w niego, w jego rozum, finez, spryt — jak się wyrażano — a nawet w jego gwiazdę. — Ma psi węch — mówiono sobie, ale dodawano też, że ma i szczęście wielkie, o którem nawet utworzono w okolicy legendę. Opowiadano, że za młodych bardzo lat wziął raz na swój wasąg w słotę wielką ubogą jakąś babinę — niektórzy utrzymywali, że żydówkę — i przewiózł dwie mile do miasteczka, a ta mu niespodziewanie dała za to talara bitego i kazała nim szczęścia próbować. Było rzeczą wiadomą, że zaczął od pokornego handlu jajami, które skupował o kilkanaście mil w promieniu po wsiach jeżdżąc, a na zimę do Warszawy odstawiał. Czasem na handel i kurę od baby kupił, i były takie co to pamiętały, jak dzisiejszy „pan Oktabowicz,“ a dawniejszy Oktabowicz poprostu, zwyczajny łyk z miasteczka, chudą kokosz od nich wytargował, w domu ją żonie podpaść kazał i zawiózł potem do Warszawy, aby na złotówce dwie zarobić. Teraz mówiono, że ma krocie, że niejednego z obywateli okolicznych w kieszeni swej trzyma, a biedny p. Piotr, zmykający przed nim przez płoty i rowy, był mu winien kilkadziesiąt tysięcy, od których nigdy procentu nie płacił.

Te to procenta utworzyły sumę taką, z nieznacznej niegdyś sumki dwudziestu tysięcy złotych. Pan Piotr nietylko dopisywał procent, ale kilka razy na ratę towarzystwa dopożyczał i zrobił się dług duży, który mu teraz na

widok wierzyciela trwogą w serce kołatał. Obecnie już mu się ludzie z pieniędzmi nie nastręczali, a choć zawsze na tem się skończyło, że Oktabowiczowi nieoddany procent do kapitału wcielił, trząsł się przed nim biedak jak w febrze, bo Krezus był gburem, który głośno wykrzykiwał, że takich partackich interesów nie lubi, że chce mieć swój kapitał na termin, mogąc go dziesięć razy korzystniej użyć. — Co mnie tam panie potem, mieć jeszcze kiedyś szlochy za uszami, skoro ta szlachecka bieda nareszcie pęknie — mówił ludziom. Chcę moje pieniądze przedtem wyciągnąć, i na nędzne procenta się nie łaszczę. Pieniądz, nie u głupca w ręku, zawsze procent i nie taki jeszcze przyniesie...

To też za każdą razą, gdy termin na rewersie oznaczony nadchodził, Oktabowicz zjawiał się od czasu do czasu i o pieniądze wołał, w niezmiernie przykry sposób, komornikiem, fantowaniem grożąc. Tak już było od lat kilku, i tylko przeszłego roku szczęśliwie przeszło, bo Jan do niego do miasteczka naprzód pojechał, i za procent, który nieco podniósł, zaręczył, że mu go sam osobiście odda, i oddał istotnie na termin, obracając na to głównie ratę swej dzierżawy. Pan Władysław, w którego nieobecności to się stało, wpadł na młodszego brata w gniew, że nie on majątkiem rządzi, aby dochodami podług swego zachcenia obracał, i skoro chce liczyć się za dzierżawcę jedynie, powinien poprostu do kasy głównego majątku czynsz wnieść, nie mieszając się w nic więcej. Ale na ten raz p. Piotr za młodszym synem wystąpił, nawet Adam, jak pół bóg z obłoku się wychylił, uznając, że Jan bardzo dobrze zrobił, uwalniając dom od nieprzyzwoitego skandalu, który mizernych kilku tysięcy nie wart. Pan Piotr liczył, że się i tego roku tak stanie, zapomniał nawet o Oktabowiczu, który wprawdzie w roku zeszłym Janowi uroczyście zapowiedział, że na przyszły rok nie procentu, ale kapitału koniecznie żąda. Gdy przecież p. Piotr kapitału nie miał i mieć się nie spodziewał, a termin wypłaty na 1-go czerwca dopiero przypadał, nie myślał o tem, aż mu nagle koń biały i koń bułany przed oczyma błysnął, wiodąc za sobą cały szereg obrazów przestraszających: Oktabowicza w czapce na głowie niemal do pokoju wchodzącego, albo co gorzej krzyczącego już na ganku, że pewno szkapy na darmo męczył, bo p. Piotr swoim zwyczajem niezawodnie grosza przy duszy nie ma, i on się znowu ze swemi pieniędzmi nie zobaczy. Następowały potem zwykle prawdy surowe na złe gospodarstwo, na niedołężny zarząd, na rozrzutność synów i niedbałość ojca, tak że p. Piotr zawsze trzęsącemi się rękami ostatnie załatanie sprawy podpisywał, a pani Piotrowa, choć bynajmniej nie spazmatyczka, po wyjeździe okrutnego człowieka w serdecznych kurczach padała.

Pan Piotr trząsł się wtedy gorzej, niż w obecności Oktabowicza, i na wszystkie świętości Benisi swej przysięgał, że nie należy tak rzeczy brać do serca, bo dziś nie ma na okolicę ani jednego majątku, na którymby jakiś dług nie ciążył. — To już takie czasy kochasiu — mówił, ze szklanką ziółek przy łóżku żony siedząc — to już takie czasy nieszczęśliwe... Wszyscyśmy podupadli, podubożeli, ale się z tej biedy powoli wyliżę, odreperuję. Zboże rok rocznie w górę idzie, ceny się na wszystko podnoszą — wełna, okowita dwa razy tyle płaci co dawniej.

Ponieważ porządny rachunek podwójny: kredyt i debet był nowością, jeszcze może w Kamieniu niesłyszaną, p. Piotr nie objął nigdy myślą jedną, że podnoszenie się cen nie jest jednostronnem tylko. Wprawdzie nieraz wyrzekał na drogość robotnika, na kosztowność teraźniejszego sprzętu i oprzętu gospodarskiego, ale wyrzekania te ginęły luźno w skardze na teraźniejsze czasy. — Ciężkie lata kochasiu — mówił, kiwając żałośnie głową i przenosząc wzrok smutny od bladego oblicza żony, na zapłakaną twarz podtrzymującej ją córki — ale u nas nie gorzej jak gdzieindziej. Spytaj Władzia, on przecież młody, wciąż jeździ, bywa między ludźmi, to wie i powie ci, wytłumaczy dokładnie, że to wszędzie prawie tak samo. U kogo jest teraz gotówka? Chyba u takich Oktabowiczów kochasiu...

— Ale my jeszcze nie najgorzej — dodawał. — Jeden ten jego dług znaczny, a reszta to już małe, małe tylko dłużki. U Abrachama trochę większy i u młynarki, wdowy po Millerze, ale ci dobrzy ludzie, czekają i procent wezmą czem jest... Millerowa trzyma wprawdzie młyn i mógłbym jej go sprzedać w najgorszym razie, a jeszczeby się coś z reszty okroiło, ale młyna szkoda kochasiu, wielka szkoda i sprzedać też nie chcę. Władzio ręczy, że ceny jeszcze w górę pójdą, wie to, czytał...

Oktabowicz spadał teraz niespodziewanie, nie z deszczem, jak mówi przysłowie, ale ze słońcem wiosennem, z wiatrem wonnym, który wiał na rozpalone czoło biednej Jadwigi Kamieńskiej, gdy w ganku starego dworu czekała na spotkanie człowieka, okrutnego jak rzeczywistość. A prócz niej patrzyło teraz na niego kilka par niemniej ciekawych i zadziwionych oczu. Stangret wyszedł przed stajnię i patrzał, chłopiec rąbiący drwa na okólniku i dwie dziewki coś podsiewające koło spichrza, wszyscy poodwracali się od roboty, pootwierali usta i patrzyli za nim, gdy uśmiechając się z zadowoleniem do wysokiego, cienkiego wyrostka, którego wiódł za sobą, chwalił wszystko i dowodził, że tu nie taka rudera jak się spodziewał. — Prawda Michałku, że nie brzydko w Kamieniu panów Kamieńskich? pytał chłopaka z dużemi niebieskiemi oczyma, które były zmieszane i prawie przelęknione — prawda synku, że zgoła nie brzydko? A tam, w starym dworze, to już wcale pięknie: komnaty, alkierze, pokoje, wszystko śliczne, aż miło....

Wyciągnął rękę, wskazując nią przyszłemu swej fortuny dziedzicowi dom stary, a patrzących na to ludzi dziwne mrowie przeszło. Dziewki chciały cisnąć przetaki i uciekać z krzykiem, stangretowi się stawało jak gdyby przybysz na suche gonty dachu rozpaloną żagwię cisnął, a Jadwiga uczuła zawrót w głowie. Przypomniała jej się teraz matka, przypomniała jej się nagle prośba ojcowska i smutna potrzeba usunięcia biednej przed tem spotkaniem złowrogiem, którego ona sama uniknąć nie mogła. Oktabowicz, nie wracając do swej bryczki, która została po jednej stronie dziedzińca, zbliżał się teraz ku dworowi stroną drugą, można powiedzieć wewnętrzną już, domową, na której obcy nie bywał nigdy, bo prowadziła jedynie na folwark i do gospodarskiego obejścia, ale gość nieceremonialny nie liczył się z temi względami. Szedł prosto, zmierzał do furtki, która obok zamkniętej bramy wjezdnej (jedna była naprzeciw drugiej) stała otwarta, ale na szczęście szedł powoli, rozmawiał i przystawał tak rozmawiając, że Jadwiga miała jeszcze czas w głąb się cofnąć, do matki pobiedz. Gdy wracała szybko na przyjęcie gościa jeszcze w ganku, gdzieby jej się może udało załatwić z nim całkowicie, spotkała go nagle w sieni, o mało co na wchodzącego nie wpadłszy.

— A.... panna dobrodziejka — rzekł gość głosem, który zdaje się, że chciał uczynić grzecznym, a który brzmiał tylko jak szyderstwo — panna dobrodziejka.... Zdrowa?.... pewno zdrowa....

— Dziękuję — odparła Jadwiga i ona najlepsza z najlepszych, ona, która będąc dzieckiem z żalu nad żebrzącemi dziadkami zawsze ich wszystkich w ręce załowała, gdy

im grosz przed ganek wyniosła, a którą dziś wiejskie baby całej gromady swoją serdeczną pannusią nazywały, ona stała się nagle dumną, imponującą i głowę tak podniosła, jak gdyby chciała panom Oktabowiczom dalszą drogę do domu zagrodzić, ale w tej samej chwili serce jej się ścisnęło gwałtownie. Wszakżeż jej ojciec był dłużnikiem tego człowieka, któremu nie mógł z długu się uiścić i uciekł ztąd przed nim, a ona w zastępstwie tego ojca miała się kłamaną wymówką przed słusznemi zresztą wyrzutami zasłonić. Grubianin, był niemniej w swojem prawie i mógł śmiało do tych drzwi kołatać, a jej czyż wobec niego nie pokora tylko przystawała? To też cofnęła się nagle krokiem, i drzwi do bawialnego pokoju otworzyła. — Proszę panów — rzekła smutnie.

— Mój synalek Michał — ozwał się Oktabowicz ojciec, prezentując i przybierając niby ton żartobliwy. Był w dobrym humorze i okazywał to widocznie.

— Ojca mego w domu nie ma — rzekła Jadwiga i zapłoniła się szkarłatem mocnym.

— Wiem... wiem... odparł Oktabowicz śmiejąc się i z porozumieniem na syna spoglądając. — Widziałem tatunia, jak przygarbiony wiejskiemi ogrodami zmykał — dodał wesoło. Dworski śpichrz jest na wzgórzu i widać z niego do samego kościoła.

Jadwigę oblał znowu drugi rumieniec wstydu i poniżenia. Stała upokorzona przy krześle, za którego poręcz ujęła, a chłopiec z niebieskiemi oczyma podniósł na nią ukradkiem wzrok litośny i gdyby Jadwiga mogła teraz patrzyć na swoich gości, byłaby dostrzegła, że ma obok siebie sprzymierzeńca i przyjaciela. Ale nie patrzyła biedaczka, och nie! — nie mogła. Nie byłaby mogła również przemówić za żadną cenę świata, bo miała gardło ściśnięte, ale Oktabowicz był sam dość rozmowny. — Mnie, panienko dobrodziejko, dziś wcale z tatuniem się widzieć nie potrzeba — rzekł, stojąc naprzeciw Jadwigi — wcale nawet do niego interesu nie mam. Już ani po procent, ani po pieniądze nie przyjeżdżam.

Jadwiga mimowoli wzrok podniosła i wpatrzyła się w mówiącego zadziwionem, niemal pytającem spojrzeniem. zrozumiał ją też i odpowiedział. — A na jakiego licha te rok roczne korowody? — rzekł teraz surowiej. — Z próżnego dzbana nic nie wyciśniesz...

Odsunął sobie krzesło, odgradzające go od kanapki koło której stali blisko, od niedużej, ładnej, staroświeckiej kanapki, której poręcze stanowiła galeryjka z czarnego jak heban drzewa, kilkakrotnie trzema złoconemi strzałami ozdobiona. Pokrywał ją pers w pąsowe wielkie kwiaty i duże liście zielone, barw tak jeszcze świetnych, jak gdyby nim wczoraj dopiero ten starożytny sprzęt obito. Ale Oktabowicz nie patrzył teraz na nic; zasapał się znowu, zachmurzył i siadł ciężko, aż zatrzeszczało. Nikt go do tego wypoczynku nie poprosił, ale on pozwolił na niego sam sobie. — Nie przyjechałem po pieniądze — zaczął znowu — i nie potrzeba mi starego pana widzieć, niech tylko panna będzie łaskawa ojcu powtórzyć, co powiem. Na Kamieniu taka gospodarka, jak gdyby kto do wozu z tyłu i z przodu po cztery konie zaprzągł. Rwą, aż rozerwą, ja tymczasem czekać nie mogę z założonemi rękami i co innego zamierzyłem. Przejąłem dług od Abramka, od Millerowej i wszystkie drobne dłużki, z przeproszeniem panny: parszywe. Mam wszystkiego ośmnaście kwitów — dodał, uderzając się w kieszeń po prawej stronie piersi — i kupa pieniędzy poszła na to, bo procenta tak ludzie odbierali, jak i ja. Całowali mnie też w ręce, gdy im płaciłem, a wypłaciłem wszystko sumiennie, choć się nie zapieram, że zarobiłem, bo tak zawsze głupcom bywa, gdy nierzetelnemu człowiekowi grosz swój oddają. Nie mówię tego, aby pannie dogryść, Boże uchowaj panna temu nic nie winna, ale tatunio nierzetelny człowiek i nie gospodarz, a starsi braciszkowie, to już nie ma co mówić...

Poprawił się na kanapie i zatrzymał. Może nie chciał być dziś okrutnym, może mu się żal zrobiło Jadwigi, która naprzeciwko niego wciąż stała, za krzesło się rękami trzmając, a była teraz blada bardzo. — Powiedz panna dobrodziejka ojcu w krótkości, że wszystkie te jego długi razem zahipotekuję i zaraz, natychmiast, wieś na subhastę! Nie ma z nim innej rady: jak mi do trzeciego dnia zgodnej odpowiedzi na to nie da, że mi Kamień z wolnej ręki sprzedaje, to pcham w te pędy list do adwokata i kupię taniej na licytacyi...

— Kamień! wykrzyknęła Jadwiga z boleścią, z rozpaczą, z przerażeniem nieopisanem — Kamień pan kupisz!...

Krezus nie zrozumiał dźwięków, które grały w drżącym głosie kobiety i źle je sobie wytłumaczył.

— Kamień kupię! zawołał, a raczej krzyknął rozgniewany, w stół ręką uderzając — kupię, kupię na licytacyi, gdy woźny będzie okrzykiwał: kto da więcej?... Nikt nie da więcej — dodał szyderczo — bo nikt nie będzie miał grosza na to... Kupię za co będę chciał!

Wstał i obejrzał się do koła, obszedł pokój i zajrzał do drugiego — do salonu! — Patrz Michałku! zawołał na syna — czy nie mówiłem ci prawdy, że tu pięknie u p. Kamieńskiego.... Patrz, obejrzyj....

Sam chodził i oglądał, uniósł pokrowce z mebli i przyjrzał się ich obiciu, dotykał je ręką i próbował miękkości. Z kolei przyszedł do fortepianu, który był otwarty i zdawało się, że położy na klawiszach grube palce krótkie, aby mu zagrał muzyką dźwięków niesfornych, ale go pociągnęły do siebie oświecone właśnie samem słońcem południa drzwi szklanne. Podszedł, stanął na progu i teraz znów zawołał na syna, ale odmiennym jak poprzednio głosem, który brzmiał, już nie ironią uszczypliwą, nie urąganiem szyderczem, ale szczerym zachwytu wyrazem. Dom, jak wszystkie niemal wiejskie dwory nasze, stał frontem do wschodu, i gdy pierwszy promień świtu padał mu jak gdyby na lica, aby się budził wesoło z różowem światłem dnia, który wstaje, ten bok domu, na południe wystawiony, miał zebrane przed sobą najcenniejsze skarby flory kamieńskiej. Za prababki, babki p. Piotra, pewno się ten kącik ogrodu wirydarzem nazywał i każda imość, szczególniej za swoich lat młodych, za pierwszych lat gospodarstwa swego, tu sobie siała i sadziła co najwonniejsze kwiatki, tu robiła sobie swój raju kawałek, kawałek poezyi w prozę codziennego życia wplecionej, a gdy potem przyszły panienki, córki dorosłe, tu się pewno wymykano pani matce ciepłą nocą letnią jaką godzinkę przemarzyć, w bzie szczęścia szukać, stokrotki o czyjeś serce się pytać. To też zdawać się mogło,, że cała ta suma śnień dziewiczych, poezyi cichej i poszukiwań piękna prostego, została się tu, do drzew, do ścian przyczepiona, w ziemię wsiana i teraz budziła się, odżywiała, gdy zieleń rozwijała się w blaskach złotych. A przecież nie było tu nic wielkiego: grządka hijacentów i tulipanów tworzyła niby haftowany szlak trawnika, klombik białych narcyzów rozsypywał się jak bukiet śliczny z ujęcia uplecionych pręcików łoziny, dalej było kilka krzaków migdału różowego, który rozkwitał, a rój pszczół już nad nim brzęczał wesoło, już podlatywało kilka białych, młodziuchnych, tylko co urodzonych motyli. Nad tem wiał wiatr ciepły, rozchodziła się woń hijacentów, świeciło słońce południowe i Oktabowicz ojciec obrócił się w głąb za synem. — Chodźżeż Michałku! zawołał — chodź! patrz....

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jan Ramzau.

ROMANS MARYNI.

POWIEŚĆ NA TLE ŻYCIA WIEJSKIEGO.

Drukowana w popisowym numerze popularnego czasopisma „Touche à Tout.“

3 PRZEKŁAD Z ORYGINAŁU.

(Ciąg dalszy).

Bertrand Bruscail — tak się nazywał — głęboko został dotknięty tym dziecinnym pocałunkiem Paryżanki. Wydała mu się tak piękną! Dla niego, jak dla większości jego współziomków, jasno blondynka była już istotą wyższą, córką słońca, pod nogi której brunetki, pospolite dziewczęta ziemi, winny sypać kwiaty.

Do tego uroku blondynki dołączał się u panny Couloumerówny jej wdzięk Paryżanki, a wdzięk ten był olbrzymi. Jakiż prowincyonalista nie jest tknięty szacunkiem na samą myśl o Paryżu!

I oto taka jasnowłosa, taka Paryżaneczka śliczna i świeża, której ręce były tak delikatne, jak skrzydełka kurczęcia, raczyła go pocałować, polecić mu, ażeby o niej pamiętał, pozostawiła mu swoją rękawiczkę. Toć to była chluba niepowszednia dla takiego Bertranda, dla Bertranda, jak mawiano w Guiche.

Rozpoczął był właśnie rok siedemnasty, gdy się poznał z Marynią na łące Hountiny: o cztery lata więcej od niej. Jego serce, jego skromne serce wiejskie nie doznało nigdy równie rozkosznego wzruszenia. Oparłszy się o niego swemi pięknemi rączkami, ażeby go pocałować, panna Couloumerówna przeistoczyła go niejako w inną postać, zrobiła zeń coś wielkiego, jak króla. Tak w bajkach, które czytywał, istoty monstrualne stawały się ludźmi, za dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

Śliczne historye układał sobie po odjeździe Paryżaneczki! Bertrand był dzikim; nie wiele o czem mógł się odezwać w towarzystwie; ale gdy był sam, mówił sam do siebie i nie rzadko słychać było jak pomrukiwał jakieś zdania w polu, prowadząc woły, i jak gestykulował niekiedy, jakgdyby ze trzydzieści osób miał dokoła siebie.

Trzydzieści? nie! Teraz miał tylko jedną jedyną! blondyneczkę o pieszczących słowach, o uśmiechu dobrym, jak promienie świtu: oto co sny jego utrzymywały stale przy jego boku, a wizya ta była tak błogą, że żył w ciągłem prawie przeistoczeniu.

— Nie wiem, co czeka Bertranda, — zwierzali się do siebie rodzice, — ale oczy mu jakoś błyszczą niepowszednio od dni kilku!

Nie było to czczą przechwałką z jego strony, gdy wyliczał dostatki swojego ojca Marystce. Nie powiedział nawet wszystkiego. Bruscail był bogaty, bardzo bogaty. Był to jeden z tych pracowitych wieśniaków, których nie brak na południu Francyi, a który posiadając z półmiliona metrów ziemi w słońcu, nie licząc oszczędności, lokowanych u notaryusza, każe synom pracować tak, jak pracowali sami, to jest, jak niewolnicy w wiekach średnich.

Bruscail miał dwóch synów. Bertrand był młodszym. Starszy miał na imię Cypryan. Ten to Cypryan nakładał siano na pierwszy z dwóch wozów, na który Marystka miała wejść na razie. Był on zaledwie o rok starszy od brata. Z powierzchowności obaj bardzo byli podobni do siebie. Ale starszy miał być dziedzicem, prawo bowiem starszeństwa obowiązuje dotąd na południo-zachodzie. Prawo to zabrania rozdrabniania własności, co stanowi największą sumę zabiegów wszystkich rolników.

Bertrand, jako młodszy, skończył tylko szkołę gminną; posiadał jedynie to szkolne świadectwo. Nie miał więc być panem. Nie miał nosić kapelusza i musiał się zadowolnić czapeczką wełnianą. Kłaniając mu się, wieśniacy miejscowi mówili: „Dzień dobry, Bertrand,“ a zaś do jego brata: „Dzień dobry, panie Cypryanie.“ Mówili po francusku do starszego; do młodszego zwracali się po gaskońsku, jak do swoich wołów. Starszy otrzyma na swój udział dwie trzecie dóbr ojcowskich i matczynych; młodszy dostanie tylko resztę! i obowiązkiem jego będzie zawsze ustępować bratu. — Nawet, gdyby był rozsądnym, gdyby miał słuszne wyobrażenie o swojej roli w rodzinie, to nigdy nie opuszczałby domu, nigdyby się nie żenił i, napracowawszy się jak parobek, zmarłby, pozostawiając swój udział bratankom, jak to robi tylu młodszych synów w okolicy. W taki to sposób zaokrąglają się po trochu fortuny wiejskie.

W siedemnastym roku życia Bertrand wiedział o tem wszystkiem, ale się zbytnio nie martwił. Skoro Bóg kazał mu przyjść na świat po Cypryanie, słusznem więc było bez wątpienia, że musi się poświęcić dla brata! I on bardzo był przywiązany do domu, do pól, łąk, do wszystkiego, co stanowiło własność Bruscaila; i zawsze poczytywał sobie za ambicyę przykładać ręki do wzrostu fortuny ojcowskiej; lubo zyski miały przypaść innemu.

Ale od kilku miesięcy, nowe refleksye zajęły umysł młodego Bertranda. Mówił sobie:

— Jednakże, gdybym to ja był starszym, byłbym bogatym, byłbym panem. Mniejbym pracował w polu, więcej bym uczył się z książek, i gdyby panna Couloumerówna obdarzała mnie nadal swoją sympatyą, może kiedyś, gdybym już zmężniał zupełnie...

Ach, jakie piękne rzeczy przesuwały się wtedy przed oczyma marzyciela! Jasnowłosa Paryżaneczka uwieńczona białem kwieciem, cała ubrana w białej sukni jedwabnej, z nim pod rękę, wchodzi do starego domu ojców, ubranego w kwiaty, i on także, jako szczęśliwy człowiek!

Ale to wszystko miało być tylko snem dla Bertranda. Cypryan, ba! — ten mógł prosić o rękę Paryżaneczki! Będzie dość bogatym, dość dystyngowanym. Młodszy będzie mógł conajwyżej być drużbą po za nimi z jaką poczciwą dziewuchą miejscową, ściśniętą gorsetem i odzianą w białe rękawiczki.

Tak więc nie była to żadna jasność, co połyskiwała z oczu Bertranda, lecz zazdrość raczej, prawie nienawiść.

Po odjeździe Marystki, zdjął z półki książki szkolne, leżące na niej obok trzewików, wycofanych z użycia; wziął także do swego pokoju stare książki Cypryana i zabrał się do nauki, do wertowania gramatyki, geografii, historyi, byle bratu dorównać. Wieczorem, gdy wszyscy spali w domu, on pracował, uczył się, sądząc, że widzi blondyneczkę, uśmiechającą się i do książek i do niego.

A w niedzielę chodził rozmawiać możliwie najwięcej z nauczycielem z Guiche'y — także panem, który nie mówił nigdy inaczej, jak po francusku.

Po mszy, starał się wejść do niego wraz z sąsiadami z Samów, ażeby zasięgnąć wiadomości o Paryżaneczce, Sam by się o nią nigdy nie zapytał, — bał by się zanadto.

Ale wieśniacy nie mogą zawsze gawędzić o swoich ziarnach i o swojem bydle; niekiedy wypadnie im pomówić i o tem, co się dzieje w pałacach okolicznych.

To też pewnej niedzieli Bertrand dowiedział się w ten sposób, że pani Couloumerowej nie odwiedzą w tym roku „Paryżanki“. I na tę wieść zbladł, jak gdyby miał umrzeć.

Spodziewał się przynajmniej, że jego przyjaciółeczka przybędzie bodaj na Nowy Rok. Ale nie doczekał się, ażeby i na Nowy Rok przyjechać miała, ani na Wielkanoc, ani na Zielone Święta, ani nigdy. Miałożby się na tem skończyć? Miałże się nie powtórzyć ów piękny wieczór? Należałoż pogrzebać to wspomnienie, jak grób z umarłym?

Bertrand miał lat osiemnaście, dziewiętnaście; urósł, stawał się mężczyzną. Niezawodnie, obraz blondyneczki zatarł mu się nieco w mózgu; czegóż to życie nie każe zapomnieć w swym nieubłaganym biegu! Ale za każdym razem, ilekroć szedł na włóczęgę po tej łące Hountiny, czuł, że coś mu drży w głębi piersi, jak zamurowane źródło, które czeka tylko na ujście.

Owóż, pewnej niedzieli lipcowj — w dwa lata po odjeździe Marystki — dowiedział się, że w pałacu pani Couloumerowej przystąpiono do reparacyj, spodziewając się gości.

— Jakich gości? — zapytywał sam siebie wzburzony.

Tym razem ośmielił się zadać pytanie gospodarzowi z Samów, który mu to opowiedział, o gospodarz oznajmił mu, że pokój został zawarty pomiędzy panią Couloumerową i jej synową. To właśnie ta ostatnia ma przybyć w sierpniu ze swoją córką.

— Ach! gdy usłyszał te słowa, Bertrand był tak szczęśliwy, że miał ochotę podrzucić swą czapkę do góry, jak robią rekruci miejscowi, gdy wyciągną dobry numer.

Panna Marya miała powrócić! Zobaczy ją! Gdybyż sobie przypomniała o nim, o tym wozie siana, o tem pożegnaniu tak czułem!...

I od tej chwili żył jak w ekstazie. Mówił sam do siebie przez całą drogę, wracając ze mszy. Po powrocie do siebie, udał, że nie widzi rodziców, i nie słyszy, co mówią. Nie był na ziemi; pływał po obłokach. Myśl o Maryi, która się tak okręcała na nim, jak żagiel na maszcie, nie pozwalała mu mieć na względzie żadnych rzeczy zewnętrznych. Ach, zobaczyć ją znowu!

Udał się na nieszpory i śpiewał, modlił się, dziękował Bogu, w najwyższej egzaltacyi swojego serca.

Tej niedzieli zresztą była uroczystość u Bruscailów. Cypryan, syn starszy, powrócił właśnie z Paryża. Był na wakacyach, jak Marynia. Był to już panek, nosił kapelusz filcowy, rękawiczki, krawat czerwony. Wąsy miał podniesione , jak u nauczyciela. Jak ten ostatni mówił do wszystkich po francusku. Mowy gaskońskiej, poczciwej mowy, którą woły rozumiały, zapomniał po przebyciu Garonny.

Dla uczczenia jego powrotu, trzy czy cztery rondle syczały na kominie, unosząc nieraz swe pokrywy z pachnącym jękiem, a cały dom tchnął weselem po przez swe szacowne okna.

Miło było spojrzeć na ten dom Bruscaila. Jak wszystkie domy okoliczne, posiadał on nazwę: zwano go Budą, co poniżało właściciela. Nie byłoż to irytującym w istocie stać się jednym z najbogatszych ludzi w okolicy i nie módz się pozbyć tej nazwy śmiesznej, która jednak świadczyła o skromnem pochodzeniu rodziny. Willa Bruscail, pałac Bruscailów to byłoby nazwą lepszą niezawodnie. Ale zmieńże tu nawyknienia parafii! Od pięciuset, tysiąca lat może, mieszkańcy Guiche'y nazywali to miejsce Budą i Budą zostałoby nawet wtedy, gdyby dom przystrojono we wszystkie wieże z San.

Miała jednak swoją odrębność ta stara buda z temi wielkiemi łukowemi drzwiami, z oknami o małych szybkach, z tym swoim sznurem czosnku i pieprzu tureckiego, schnących tam w górze wśród dwóch krokwi dachu, jak gwiazda na piersiach dygnitarza. Jej różni właściciele, powiększając ja kolejno, urządzili domostwo wcale przyzwoite.

Dzieliła się ona na dwie strony według miejscowego stylu, t. j. na dwie połowy, jedna z prawej, druga z lewej od budynku frontowego. Od południa wznosił się pawilon kwadratowy o spiczastym dachu, krytym potrójnym rzędem dachówek, wystających ponad ścianami, a całość była biała, czysta, wesoła. Przede drzwiami krótka aleja platanów, nie tych dumnych platanów, wzbijających się w górę, ale tych karłów o gałęziach krótkich, tworzyła piękny dach zielony o dwa metry od ziemi. Cypryan, przywdziawszy cylinder, musiałby się schylić niezawodnie, ażeby przejść tamtędy. Przodkowie nie przewidzieli, że dziedzic Budy będzie nosił kiedyś rurę!

Obok domu wznosiła się sosna włoska o pysznym, okrągłym parasolu, na którym śpiewały zda się wszystkie okoliczne koniki polne w dni ciepłe; a o dwieście do trzystu metrów po drugiej stronie drogi źle utrzymanej, Biduza rozciągała swą wstęgę wody spokojnej, zanim nie wpadła do Aduru, tuż pod ruinami pałacu, gdzie krążą duchy Henryka IV i pięknej Koryzandry.

Ogólnie biorąc, Bertrand był dumny z ojczystego domu; nigdy się doń nie zbliżył, nie ogarnąwszy go spojrzeniem miłości. Jednakże, tej niedzieli, oczy miał zamglone. Obraz Marystki, takiej jaką ją widział pewnego wieczoru, zadziwiająco jasnowłosą, nieco potarganą wskutek dość słabej przewiązki z powoju, napełniał mu oczy i zamykał przed nim cały horyzont, całe jego niebo.

Po nieszporach, piękny Cypryan zaproponował partyę kręgli w kręgielni miejscowej. W specyalnie wzniesionym budynku rzucało się drewniane kule, wielkości bomb armatnich, dla obalenia trzech figur, ustawionych w głębi. Cypryan celował w tej grze, wielce cenionej w dolinach Aduru i Gawy; a chociaż nie była to zabawa zbyt odpowiednia dla takiego eleganta, co to przybywał z doliny nadsekwańskiej, nie mógł się oprzeć pokusie zagrania partyi z nauczycielem. Zdjąwszy żakiet, z hałasem ciskał kulę w zaokrąglone brzuszki kręgli, coraz to wydając okrzyki, modne w wielkich miastach i w Paryżu — wyrażenia, które świadczyły, oczywiście, że miało się do czynienia z pankiem, a nawet z Paryżaninem.

Siedząc na poblizkich ławkach przy małym stole żelaznym, na którym widniały szklanki i flaszka cienkuszu, rodzicz gracza, służba i kilku sąsiadów przyglądali się grze z zaciekawieniem. Ojciec Bruscail, w kapeluszu słomianym, jak co niedziela, i w butach jak na codzień, podziwiał piękne maniery swojego syna, co jednak nie przeszkadzało mu od-

zywać się doń nieraz przy chybionym rzucie: „A dajże mnie kulę, cymbale!"

Wtedy zdejmował kapelusz, spluwał w garście, celował i puszczał wielką drewnianą kulę z impetem, po którym odrywały mu się guzy od szelek.

Bertrand, nie mogąc się oderwać od swoich marzeń, chodził tu i tam po kręgielni i podnosił obalone figury; i wielka jasność znowu błyszczała mu w oczach, które nic nie widziały.

Ale nagle usłyszał krzyki;

— Hej, Bertrand, uważaj! Uważaj że!... Ach! Jezus Marya!

Cypryan, źle wymierzywszy, trafił kulą, zamiast w kręgle, w głowę brata. Kula uderzyła w samą twarz biedaka.

Bertrand cofnął się żywo, poczem upadł na wznak!

Gdy go podniesiono, miał całą twarz we krwi.

— Aj, skaleczyłem cię? — zapytał Cypryan z pomieszaniem. — Dla czegóż nie uważałeś! Kula wymknęła mi się z ręki! To nie moja wina!

Nauczyciel, służba, sąsiedzi zgodnie orzekli, że to nie była jego wina.

Bruscail ojciec ozwał się:

— Po co to lazł tamtędy, biedaczysko!... Zawsze na księżycu!

Matka Bertranda, Katarzyna Bruscailowa, uklękła, blada z przerażenia, i ocierała mu twarz chustką.

— Bertrandzie! — szeptała: — ach, to okropne! Wstań mój syneczku! Wszak możesz! Wstań...

I mówiąc nieuczenie, jak chłopka, co nie umie się zdobyć na czułe przymioty, całowała syna, swego biedaka młodszego, którego twarz była odartą poprostu ze skóry.

Raniony zadrżał pod tym pocałunkiem matki; — i on także wyciągał swe usta do tego ukochanego czoła, które już okalały bielejące włosy.

— To nic, mamusiu! nie płacz! — rzekł, zdobywając się na uśmiech.

Wstał, usiłował sam chodzić, skierował się krokiem chwiejnym ku domowi, pchnął skrzydło drzwi owalnych, poczem stanął przed lustrem w sali, ażeby się przejrzeć...

Po przez czerwone powieki, z których zwieszały się jeszcze krople krwi, spostrzegł głowę straszną, coś jakby monstom o rozdartej twarzy...

— Ach! — zawołał.

I przymknął oczy.

Ach, wtedy okropna myśl błysnęła mu na czole: „Oszpecony!... Oszpecony na zawsze!... A ona ma powrócić!"

Westchnął i poczuł, że nogi mu się chwieją, że serce mu bić przestaje.

Upadł na ręce matki, która zawodziła jeszcze:

— Bertrand!... mój biedny Bertrand!...

III.

Tego poranku, pani Couloumerowa wstała wcześnie. Marystka pisała do niej:

„Będziemy o jedenastej szesnaście na dworcu, Mimi! na dworcu Peyrehorady, naturalnie, ponieważ przystanek wasz w Samach jest tyle niedelikatny, że nie przyjmuje bagażów. Mam nadzieję, że ujrzymy tam nosek babiny, ażeby go ucałować wcześniej."

Od przedwczoraj pani Couloumerowa czytała i odczytywała ten świstek papieru, a oczy jej zapalały się potem, jak gdyby miały odzyskiwać młodość. Poczciwa Marynia! jak to przyjemnie będzie ją uściskać po trzyletniej nieobecności!

— O nie, Mimi nie pojedzie na dworzec Peyrehorady, byłaby zanadto wzruszoną, mieszczanie gotowiby ją wyśmiać. Pani Couloumerowa przyrzekała sobie podejść tylko do końca swojej alei lipowej. Tam poczeka, na trawie, robiąc pończochę. Ale za to pośle na dworzec raniutko swego woźnicę z omnibusem po rzeczy tych pań, bo niezawodnie będą miały i walizy i kufry i pudła papierowe... Jezus Marya! Paryżanka, wybierając się w podróż, połowę domu swego zabiera ze sobą.

O dziewiątej, pani Couloumerowa poczęła już gderać na woźnicę.

— Jakto? Jeszcze nie pojechałeś, nygusie jeden! Spóźnisz się! Nigdy nie zdążysz na pociąg w Peyrehoradzie!... Ach Boże, co to za ludzie! jakich nicponiów dałeś mi, Panie!

Stara pani Couloumerowa uskarżała się często. Rzadko kiedy mogła się zwrócić do którego z czeladzi, ażeby go nie przezwać leniem, nicponiem, a nawet anarchistą. Ale był to tylko sposób mówienia. Nazywała wszystkich ze służby według starodawnej modły, a byłaby w rozpaczy, sprawiwszy komu z nich jaką przykrość. To też, nie wiele sobie z tego robili; pozwalali gderać starej, wiedząc, że jej to było potrzebne do zdrowia. Czem by się była stała biedna pani Couloumerowa, gdyby jej wypadło spędzić dwadzieścia cztery godzin bez naurągania komu od gromów piekielnych? Zakwasiłaby się niezawodnie!

O trzy na dziesiątą ten nygus stangret jeszcze nie pojechał i to wywołało nowy atak pani Couloumerowej.

Ale Berdillon, któremu wystarczały dwa zwymyślania na dobę, wytłomaczył się dość rubasznie, dla czego jeszcze nie był w drodze. Była tu znowu przyczyną kura. Kurą zwała się ulubiona klacz pani Couloumerowej, ciężka biała dwudziestoletnia kobyła — piękny wiek do obwożenia starej maniaczki, obawiającej się jakiego wypadku w drodze — i niestety! Kura, jak wszystkie białe klacze, miała osobliwszy pociąg do najbłotniejszych kałuży, w których się można poprzewracać do woli. Użyła też sobie tego rana i przyprowadzono ją z łąki brudną, jak kocioł smołowy. Od pięciu minut Berdillon mył ją obficie wodą, poczem dopiero miał się zabrać do zgrzebła, ażeby jej nadać połysku.

Nareszcie, o pięć po dziesiątej, stara klacz nabrała pożądanej barwy półkoszulka świeżego i można było pojechać na spotkanie Paryżanek.

— Masz no, Bardillon! Zabierz kilka gruszek; te panie będą chciały może pić w drodze. Daj im je, rozumiesz? Tylko aby sam ich nie zjedz, łakomcze jeden!

Bardillon przyrzekł, że nie zje wszystkich, poczem, włożywszy czapkę i odświetną kamizelę żółtą, ruszył swoim omnibusem dość ostro, co płoszyło kolniki polne wzdłuż gościńca.

Gdy ekwipaż znikł, babka Maryni poszła się nieco przebrać.

Boć trzeba się było pokazać, przyjmując Paryżankę, urodzoną de Flavilly! Nie podobna było zostać w swych nieocenionych sandałkach i w szacownym czepku codziennym! Trzeba było włożyć trzewiki, suknię i kapelusz, robiony w mieście, i pompony i biżuteryę!

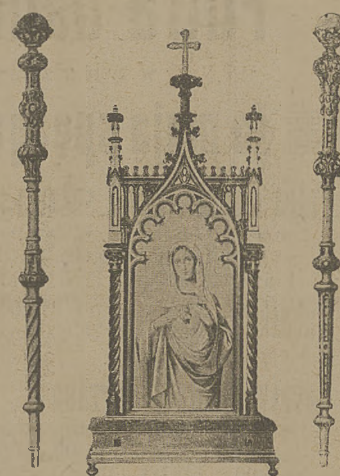
Włożyła wszystko. Poczem wciągnęła dobrą szczyptę tabaczki — „ostatnią!" — mówiła, energicznie zamykając tabakierkę, bo Paryżanki robią miny, gdy całują starą kobietę, którą czuć tabaką. I o pięć po jedenastej całkiem wystrojona, wyszła na spotkanie gości na drogę do Peyrehorady.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

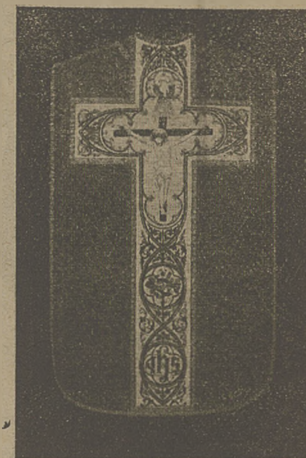




Ogromny wybór
Ołtarzyków do noszenia,
w różnych stylach,
Lasek marszałkowskich
dębowych, złoconych, polerowanych.
Figur Świętych Pańskich na powietrze trwałych, z odpowiedniemi filarami



Krzyżów przydrożnych pod gwarancyą trwałych, wszystko po cenach najniższych bo własny wyrób, a więc źródło najtańsze
Lichtarze, wieczne lampy, pająki, latarki, ornaty, chorągwie, baldachimy itd.
poleca



Stanisław Nowakowski,
rzeźbiarz i budowniczy ołtarzy.

Rok założenia 1896. Poznań, ulica Wilhelmowska 18. TELEFON 2201.
Fabryka i mieszkanie: POZNAŃ-WILDA. 116

Baczność! Baczność!

Kolendy
na Boże Narodzenie



na płytach gramofonowych już nadeszły.
Do nabycia są następujące płyty:
(Cena za dwustronną płytę 3 marki.

Kto płyty abonuje u mnie oszczędza wiele pieniędzy. Proszę zażądać warunków.

K. 1. (A wczora z wieczora (W żłobie leży
K. 2. (Anioł pasterzom mówił (Niepojęte dary.
K. 3. (Wśród nocnej ciszy (Hej w dzień narodzenia
K. 4. (Bóg się rodzi (Gdy się Chrystus rodzi
K. 5. (Dzisiaj w Betleem (Pastuszkowie
K. 6. (Serdeczna Matko (na używana melodyą) (Z tej biednej ziemi (na mel. „Z dymem pożarów.“)
Wszystkie pieśni są nagrane z akomp. orkiestry.

UWAGA. Aby uniknąć nieprzyjemności, proszę by każdy już teraz zamawiał kolendy, gdyż krótko przed świętami z powodu nawału nie jest mi możliwym wszelkie zamówienia na czas uskutecznić, proszę tedy nie zwłóczyć do ostatniego tygodnia lecz już teraz zamawiać. 410

St. Pełczyński,
Poznań, ulica Wodna nr. 13 na I. pietrze.

Baczność!
Jedyny polski zakład fotograficzny w Poznaniu
w ręku fachowca. 76
J. Stolski
Poznań, ul. Szeroka 20 parter.
Tel. 790. Tel. 790.
SPECYALNOŚĆ:
Portrety w wykonaniu artystycznem.

Kawy, herbaty, biszkopty, czekolady. Wszelkie delikatesy, konserwy, owoce, jarzyny, świeże ryby, żywe homary, kawior, pasztety, pulardy, zwierzynę itd. poleca i wysyła bez zawodu
W. Niedbalski, Poznań 330
ul. Rycerska 2. Telefon 2220.
Skład delikatesów. — Winiarnia.

320

Mądre gospodynie używają do prania tylko proszek
!Słońce!
Proszek ten nadaje bieliźnie
„śnieżną białość i miły zapach fiołków.“ 437
Każda paczka zawiera
„praktyczny przedmiot.“
Do nabycia wszędzie.
Jedyny fabrykant
Z. Ritter Nastp., Poznań,
Św. Marcin 20.
Właśc. **St. Dyczkowski.**
Chem.-techn. Laboratoryum.

Patenty
na wynalazki itd.
Dr. Maryan Kryzan
rzecznik patentowy.
Poznań Rycerska 33.

Liszaj
mokry i suchy liszaj łupież, skrofuły, pryszcze wyrzuty skórne, wszelk. rodzaju
otwarte nogi,
obrażenia nóg, wrzody na nogach, żyły kurczowe, bolące palce, zastarzałe rany są często uporczywe; **kto dotychczas daremnie oczekiwał** wyleczenia, niech jeszcze raz spróbuje od dawna najlepiej wypróbowanej
maści Rino
wolna od szkodliwych składników. Puszka 1.15 mk. i 2.25 mk. Codzień otrzymujemy pisma dziękczynne. Tylko prawdziwa w oryginaln. opakowaniu biało-zielono-czerwonem i z firmą Rich. Schubert & Co., Weinböhla-Dresden, chem. pharm. labor. Naśladowań nie trzeba przyjmować. Do nabycia w aptekach.

Główny skład: Czerwona Apteka, Poznań, St. Rynek 37. 323

Pół minuty
czasu, szczotka, albo miękki płat i trochę „Marilu“, wystarczy, aby za kilkarazowem potarciem buty błyszczały jak lakierowane. „Maril“ najnowszy wyborny błyszczyk nadaje się do obuwia nawet z najdelikatniejszych gatunków skór. W użyciu nadzwyczaj oszczędny i zatem tańszy jak inne środki. Nie kupować więc nic innego, tylko żądać wszędzie „Marilu“ w podłużno-okrągłych, niebieskich pudełkach z żółtym napisem „Maril.“ Cena 20 fen.
Chem. fabr. „Ergasta“ Czesława Nagórskiego w Starogardzie.